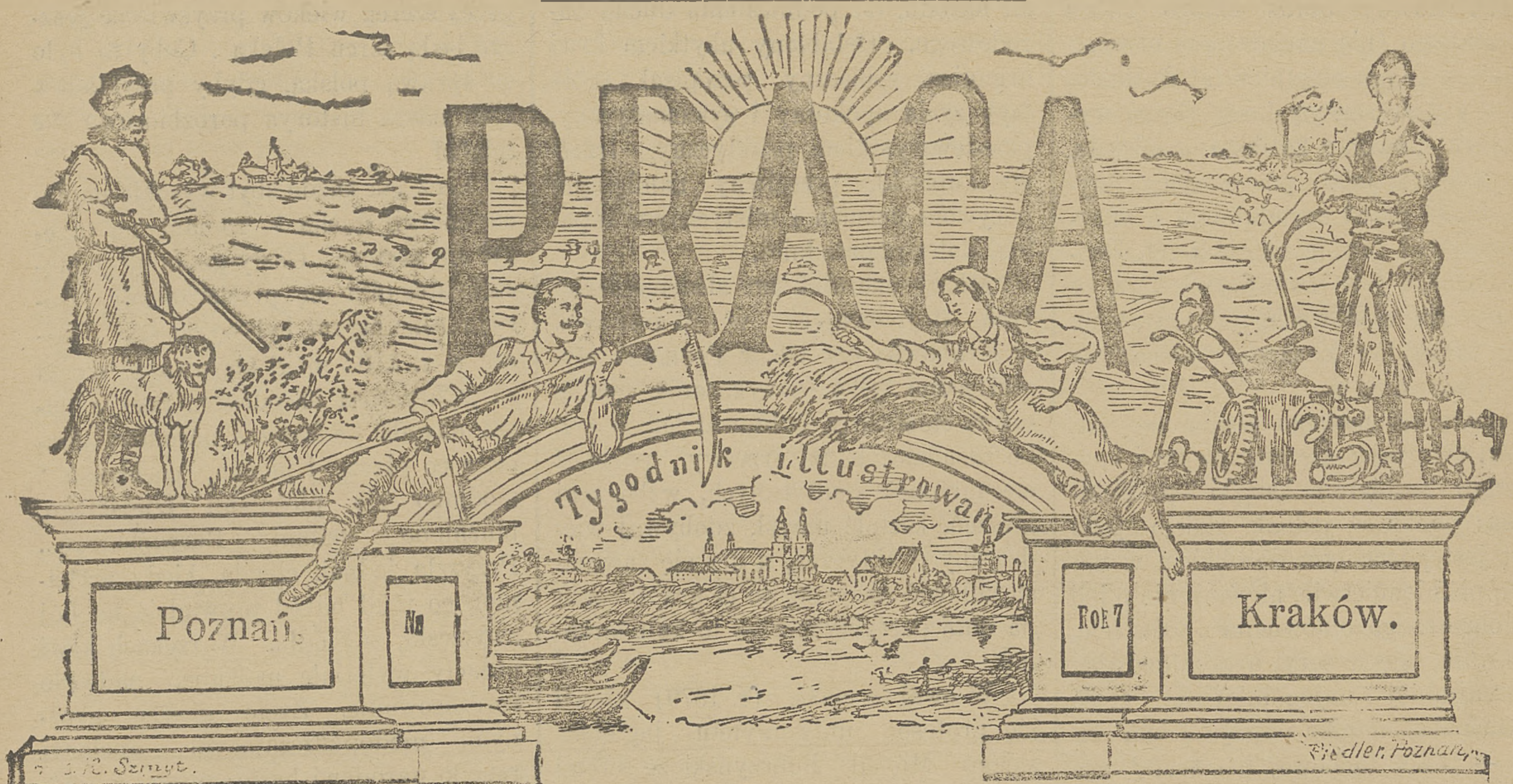
Nr 38. Poznań, dnia 20 go września 1903. Rok VII



Treść nr. 38-go.

Odezwa.

W listopadzie r. b. odbędą się wybory do sejmu pruskiego. Władze nasze wyborcze czeka zatem nowa praca, którą jak najwcześniej podjąć powinny, nie chcąc w dniu wyborów doznać klęski.

W. Ks. Poznańskie wybiera do sejmu pruskiego ogółem 29 posłów; z tych mieliśmy w minionym okresie prawodawczym tylko 10. Zwyciężyliśmy jeszcze z wielkim wysiłkiem w okręgu gnieźnieńsko-witkowskim, a ulegliśmy w wągrowiecko - mogilnicko-żnińskim. W okręgu zaś, obejmującym oba powiaty poznańskie i obornicki, brakło nam do absolutnej większości zaledwie kilku głosów.

W tych okręgach powinniśmy rozwinąć jak najenergiczniejszą agitacyę, bo brak jednego wyborcy (walmana) może spowodować przegraną.

Szanowne komitety wyborcze powiatowe prosimy usilnie, żeby rozwinęły skuteczną działalność w kierunku przeglądania spisów wyborczych i mianowania na każdy obwód prawyborczy dostatecznej liczby mężów zaufania. Na zebraniach zaś wyborczych obok wyboru kandydatów poselskich, nauka o wyborach powinna być traktowaną jasno i wyczerpująco, żeby wyborcy nie tylko o sposobie głosowania, ale także o ważności wyborów byli poinformowani.

Zwracamy zarazem uwagę na to, że według § 29 regulaminu wyborczego, wybory władz wyborczych ,a zatem komitetów powiatowych i delegatów, odbywać się powinny dopiero po skończonych wyborach sejmowych.

Nie należy zatem obecnie na porządku obrad mających się odbywać walnych zebrań powiatowych, umieszczać wyboru komitetów i delegatów. Obecne władze wyborcze mają obowiązek przygotowania i przeprowadzenia wyborów sejmowych, a następnie dopiero będą zdawały sprawozdania ze swych pięcioletnich czynności i składały swe urzędy w ręce wyborców na walnych zebraniach powiatowych.

Poznań, 11 września 1903.

Prowincyalny komitet wyborczy na W. Ks Poznańskie.

Ks. dziekan Antoniewicz,
przezes.
Stefan Cegielski,
wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. *M. Więckowski,* skarbnik.
Julian Brzeski. Dr. Antoni Chłapowski.
Dr. T. Szułdrzyński.

Odrodzenie
ducha narodowego.

(W. Feldman. Piśmiennictwo polskie ostatnich lat 20.))*

I.

Pod tytułem wymienionym w nagłówku pojawiło się niedawno temu dwutomowe dzieło znanego publicysty, powieściopisarza i autora dramatycznego p. Feldmana. Pod skromnym tytułem „piśmiennictwa polskiego“

*) Lwów. Księgarnia H. Altenberga 1902. Dwa tomy.

znajduje czytelnik w tem dziele pełen życia i prawdy, obraz całego ruchu umysłowego (nie naukowego) naszego narodu w ciągu ostatnich lat dwudziestu, a kwintessensyą dzieła, która wyłania się powoli z każdego rozdziału, aby wreszcie jako pocieszający wynik stanąć przed czytelnikiem w skrystalizowanej formie na ostatnich kartach książki, jest stwierdzenie tego, co się zawiera w słowach, położonych na czele artykułów naszych: *odrodzenie ducha narodowego.*

Charakter naszego pisma nie pozwala nam zająć się rzeczowym i krytycznym rozbiorem książki p. Feldmana: ponieważ jednak dzieło jego zbyt jest poważnym dorobkiem w naszem piśmiennictwie, abyśmy nie mieli mu obszernego omówienia poświęcić, postaramy się w seryi artykułów ująć przynajmniej najogólniejszą treść dzieła i dać niejako pojęcie o tem co ono — prócz fachowej literackiej oceny — daje czytającemu. O ile się dało staraliśmy się w poniższem streszczeniu posługiwać się zapożyczonymi z oryginału zwrotami.

— — — — — — — —

Po upadku powstania 1863 r. naród nasz wpadł w okres rozgoryczenia, obezwładnienia, trwogi przed krwawem widmem nowych ofiar.

„Precz z szaleństwami!“ tak brzmiał okrzyk na całej linii. „Bądźmy trzeźwi!“

Klątwę potępienia rzucono na tytaniczne wysiłki i porywy narodu, nakreślono mu program „trzeźwości“ wykluczający z góry wszystko, co mogło bezpośrednio lub pośrednio przyczynić się do wzmocnienia idealnych sił narodu, do podniesienia ducha narodowego. Osłabiony ubytkiem krwi organizm społeczny przepisał sobie tryb życia spokojny i systematyczny, przedewszystkiem praktyczny, trzeźwy, kupiecki, przeciwny namiętnym porywom uczucia i mistycznym zapałom doby poprzedniej.

Młody człowiek lat siedemdziesiątych dojrzewający w Warszawie, w Krakowie, czy też w Poznaniu słyszał jedno tylko przykazanie, jeden nakaz stanowczy, hołdował jednej tylko zasadzie: bądź trzeźwy, pozbądź się mrzonek politycznych, wzbogacaj kieszeń, kształć umysł, zdobywaj wiedzę aby praktyczną, a ucz się zawczasu zdławić wszystko co ci gra w sercu na nutę patryotyzmu — to kult mrzonek.

W owej to epoce (r. 1879) zjawił się profesor uniwersytetu jagielońskiego Michał Bobrzyński ze swemi „Dziejami Polski,“ których myślą przewodnią było to, że upadek Polski był poniekąd zasłużonym. Zarzucał temu prądowi opinii poeta Asnyk, że

„z rąk jej rozbiór Polski
wziął chrzest misyi apostolskiej.“

Niebotyczne ideały narodowe, jakie dawali Polsce jej wieszczowie epoki romantyzmu, były za wysokie, za dobre dla tego świata, ale bądź co bądź dawały duszom moc, życiu wielkość, przyszłości — napotężniejszą gwarancyę: wiarę w siebie, w misyę dziejową narodu, w nieprzedawnione prawa, o ostateczny tryumf prawa nad siłą. Ideałami tymi karmione serca dawały też przykłady cudów męstwa, poświęcenia, wielkości — przykłady, które przez szereg wieków przyświecać jeszcze będą sercu Polaka. Coby to było ze sprawą polską, gdyby przykładów tych nasza historya porozbiorowa nie miała?

Lecz jak każde zbyt wysokie napięcie energii ducha — romantyzm przeżył się szybko. Gasły genialne jednostki, stosunki się przekształcały, których romantyzm był wyrazem. Jeszcze w r. 1863 mógł się uważać naród za „Chrystusa narodów“; poezya nasza dawała podówczas narodowi „pacierz co płacze, i piorun, co błyska.“ modlono się pieśniami Ujejskiego, bluźniono ustami Berwińskiego... Przyszła jednak chwila, kiedy archanioł, co miał naród prowadzić na bój zwycięski, zawiódł... W rzekach krwi utonęły wybujałe nadzieje, nadeszło rozczarowanie. Życie głosem groźnym, niedopuszczającym apelacyi rzuciło narodowi hasło: precz z marzeniami! Zamiast skrzydeł — wymagało tęgich muszkułów, zamiast ekstazy — ścisłej, praktycznej rachunkowości.

Cienie owej smutnej doby w życiu naszego narodu padały i na niwę poezyi. Poezya była czemś co się nie zgadzało z poziomymi ideałami chwili, z hasłem: wzbogacajmy się. Poezya była czemś podejrzanem. Społeczeństwo w latach 1870—1885 unikało poniekąd zupełnie poezyi uważając ją za stek mrzonek i fantasmagoryi — tolerowało prozę, t. j. powieść, o ile nie bujała w chmurach i nie przekraczała granic rzeczywistej szarzyzny życiowej. Na piedestale poezyi społeczeństwo postawiło...

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nadbiegły chłodne słoty. — I słyszałem jak w szum wichru jesiennego wpadał płacz ludzki, aby razem z nim rzucić jakąś ponurą pieśń rozpaczy. I szła pieśń bólu ludzkiego przez szare ugory na sine lasy. I podawało jedno drzewo drugiemu ludzkiego płaczu łkanie, i rozszumiał się jękiem stary las dębowy, i zapłakało niebo rzęsistemi łzami. Ale o piersi ludzkie wykute z granitu odbił się płacz.

Rozbiegły się długie tęskne echa — to krwią pisane dzieje mówią do nas. To dzieje nasze — to niewoli naszej historya.

I znów stajemy wobec pytania: Za co tyle cierpienia? — Za to więc żeśmy ukochali tę ziemię ojców naszych, że chcemy się modlić tą samą mową, jaką Jan Kaźmierz w gorących słowach błagał Matki Najświętszej, aby w opiekę wzięła nieszczęśliwy kraj. Za to cierpimy, że pragniemy pozostać takim ludem, jakim jesteśmy w imię niezbadanych wyroków raz na zawsze od niepamiętnych czasów.

Prawda — głoszą ministrowie w oficyalnych przemówieniach, że nikt w świecie nie myśli tępić narodu polskiego. Lecz gdzie jest prawda, czy w tych słowach, które jak para z ust ulatują, czy też tkwi ona w faktach historycznych.

Od lat tysiąca stale przesuwa się granica zachodnia Słowiańszczyzny coraz bardziej na zachód. A usuwa się pod stałym naporem niemieckich szeregów zbrojnych. I dobrze było z tem wielkiej ojczyźnie niemieckiej. Tysiące ludu słowiańskiego poszły już na podściołkę dla germańskiego plemienia. Aż tu gdzieś na dawno zapomnianym polskim Ślązku, zda się, rozbujało się śpiżowe serce podziemnego dzwonu, co ma pobudzić rycerzy śpiących do walki. Do walki nie huczącej grzmotem dział, nie potężnej bagnetów milionem, lecz do tej cichej nie rozgłośnej, a tak okropnej walki codziennej o najświętsze ideały ludzkości, za które słodko krew przelać. I polała się krew rzeczywiście. Wiemy dobrze w jaki sposób do tego przyszło. A teraz odbywają się sądy. Sądy zaś w Prusach należą już też do tej samej kategoryi, co poczta i szkoła. Dlatego więc — rozbiegły się długie tęskne echa. — Smutne to dzieje — bolesne to fakty, ale w nich zasiew siły i potęgi, bo oto zbudziło się, jak mówi poeta:

Niewolnicze chłopskie plemię,
Długo drzemie, aż się zbudzi.
W których ludzka dusza drzemie
Długo drzemie, aż się zbudzo.
Aż się zbudzi bolejąca
Cierpieniami lat tysiąca! —
Oto drgnął w niej duch człowieka.
Oto Matko bolejąca

iło sobie worek z pieniędzmi, a ideały stąpiono hasłem: Wzbogacajmy się! — W pracy, pracy wykluczającej i tłumiącej wszelki żywszy odruch serca, wszelki protest przeciw istniejącemu pogwałceniu praw narodu, — w niej to patrywano całą przyszłości nadzieję. Program narodowego odrodzenia zaieśniono do dziedziny gospodarczej, praca organicznie u podstaw mówiła o patrzeniu w dół, ku ziemi, a nie w górę — w obawie, aby górne ideały, aby myśl przyszłości narodu nie sprowadziła zawrotu głowy i nie wytrąciła go z praktycznych jego zadań.

Społeczeństwo, nie czując samo tego, zmateryalizowało się, — szukało ideałów wśród poziomej szarzyzny.

Zajęte dorobkiem materyalnym i praktycznemi sprawami bytu pokolenie szukało w piśmiennictwie poparcia swych interesów i przyjemności.

W takiej atmosferze wzrosło pokolenie, zrodzone około 1860 roku. Wychowało się w czasie, kiedy ostatnie płomienie zostały zgaszone — chłód je też przejmował i gonił: chłód braku ideałów narodowych. Społeczeństwu, straszenie osłabionemu przejściami 1863 r. rozpacz podyktowała była metodę gromadzenia sił w absolutnym spokoju — unikanie wzruszeń.

Ta powściągliwość przerodziła się *w trwożliwość, w ostygnienie uczuć narodowych.*

Na tle tych to prądów zrodził się na polu polityki program ugodowy — i szereg objawów obojętności politycznej, depcących wszystko, co uczucie narodowe niegdyś było wypieściło i ukochało, a stawiających „racyę stanu,“ „uznanie faktów“ zamiast racyi praw żywego narodu.

Wszystko to groziło strasznym upadkiem ducha.

Rodzi się też w istocie tępa, bezmyślna rezygnacya, pogodzenie się z losem, kompromisy z marną rzeczywistością, sprzedaż ideału za misę soczewicy.

Lecz nie samym chlebem żyje człowiek. Potrzeb duszy nie zaspakaja program „praktyczny.“ Człowiek bez wyższych celów obejść się nie może, — społeczeństwo żywe nie może zrezygnować z ideałów narodowych. To też wśród klątw rzucanych przez rozum „praktyczny“ na przeszłość narodu musiało w niejednem sercu zakipieć, w niejednem musiała wybuchnąć tem większa miłość ku tej spotwarzanej przeszłości, ku wszystkiemu co w losach narodu było złem i dobrem, bo to swojskie, bo własne, krew z krwi, kość z kości naszej.

Ze starszego pokolenia pisarzów naszych opierał się zanikowi przewodniej myśli narodowej w literaturze *T. T. Jeż* (Zygmunt Miłkowski). Całe jego życie było protestem przeciw zgodzie z losem, a jego życie i twórczość literacka zlewała się zawsze w jedno: — w czyn. Z czynu on nie rezygnował podczas gdy inni grzęźli w gnuśności, zamykali się w szarzyźnie wielkiego samolubstwa i małych cnót. Ten pionier postępu niemało się przyczynił do podtrzymywania tej iskierki tlejącej pod popiołami, z której miał później wyrosnąć płomień ogrzewający serca całego narodu.

Swe ideały społeczne skrystalizował (rok 1881) w powieści *(Wnuk Chorążego)*, która świeci na tle skarłowaciałego czasu silną wolą, mężką myślą społeczną, tendencyą współpracownictwa wszystkich warstw narodu przy sprawie odrodzenia. Dziś myśl ta jest nam powszednią, oswoiliśmy się z nią i zżyliśmy, lecz przed 20 laty tak nie było: a że ona dziś właśnie tak się przyjęła w praktyce jest to wynikiem usiłowań takich właśnie działaczów narodowych, jak T. T. Jeż.

Jeż (pseud. Zygmunta Miłkowskiego) urodził się na Podolu w r. 1824 i pochodzi z rodziny, w której żyły tradycye żołnierskie. Rok 1848 zastał go na studyach w uniwersytecie. Miłkowski opuścił Kijów, aby wziąść udział w kampanii węgierskiej. Od tego czasu jego życie jest jednem pasmem czynów żołnierskich i literackich.

Walczył w armii węgierskiej, brał udział w wojnie krymskiej. W roku 1863 zorganizował w Turcyi oddział powstańczy, aby przez Bessarabię wkroczyć do Polski.

Życie dało mu skosztować wszystkich niewygód, wszystkich przykrości. Był robotnikiem fabrycznym i agentem dyplomatycznym, kucharzem i właścicielem pensyonatu, dowódzcą legionu i kupcem — na każdem miejscu, w każdym zawodzie jednak pozostał zawsze sobą: całą duszą oddanym Polsce i ideom demokratycznym.

Wszystkie utwory jego pióra, których jest ogromna liczba, noszą jednę i tę samą cechę zasadniczą: ostrą, krwawą nieraz satyrą chłoszcze autor wady arystokracyi zniewieściałej, wierny w siłę ludu prostego i jego przywiązanie do Ojczyzny, wysoko trzyma sztandar wiedzy, nielitościwie smaga pasożyt-

---

Chce miłości twojej mleka,
Chce idei twojej słońca!
I swej Matki głośno wzywa
Smutku pełna i straszliwa.

Nie wiem czy się doczekamy kiedy specyalnej historyi działalności kościoła niemieckiego na słowiańskich ziemiach.

A byłoby koniecznem odsłonić przed światem nagą prawdę dziejów. Od chwil owych pierwszych, kiedy w imię krzyża Chrystusowego, w imię tego godła miłości padały tysiące, że w cmentarzyska posępne zmieniały się krainy słowiańskie — aż do ostatnich chwil. — W całym tym długim szeregu lat ile niesprawiedliwości okrytej płaszczykiem najwznioślejszej idei, ile okrucieństwa i krzywdy! — Zniknął dawno zakon krzyżacki, przedzierzgnąwszy się w protestanckie państwo pruskie, kiedy ostatni Wielki mistrz Albrecht z rodu Hohenzollernów i wiarę ojców i pana swego, króla polskiego, zdradził, ale nie zniknęła idea, którą najdoskonalej zakon ten reprezentował i nie zaginął system, który coraz to nowych znajduje przedstawicieli. — Potrąciłem tu o osławiony zakon Krzyżaków, bo trudno by nie wpadł na myśl, gdy się człowiek zastanawia nad tem co się dzieje na Ślązku.

Zmieniają się czasy, miejscowości i nazwiska, ale nie zmienia się rzecz. I sympatyczne postacie dostojników takich jak ks. kard. Kopp i jego kolega z Ołomuńca Cohn, to bynajmniej nieodosobnione typy na podbitych ziemiach słowiańskich. — Tak, są kwestye, które wyglądają jak ironia. A dziwną jest ironia życia. Oto weźmy przykład.

Gdy Chrystus przyszedł na ziemię, aby ludzkości nieść ulgę i nowe wskazać drogi żywota, wówczas jedno mianowicie słowo, słowo wielkie i potężne rzucał Syn Boży jako siew na surowe dusze ludzkie: Miłujcie się, mówił Chrystus. A w prostocie słowa tego zamknięta cała wielkość wzniosłej nauki Jego. — Lecz wróćmy do naszych czasów i do Ślązka. Od głoszenia świętych nauk przez Syna Bożego minęło wiele długich wieków, a ludzkość — co uczyniła z tą nauką... Ręka w rękę z policyantem i prokuratorem występują księża śląscy przeciw ludności, której mają być opiekunami, przeciw ludności, której troski winni poznać a bóle koić. A Chrystus mówił: Miłujcie się.

Kiedy już cały feleton poświęciłem sprawom Ślązka trudno pominąć wieści, która co prawda jako pogłoska chwilowo świat obiega. Podobno zamierza ks. kard. Kopp ogłosić drukiem wyczerpującą rozprawę na temat:

„Czy warto oprócz ślubu cywilnego brać jeszcze ślub kościelny.“ Cenne to dzieło ma być pozyskane dla polskiej literatury. Tłomaczeniem tegoż ma się podobno zająć ks. kard. Puzyna biskup krakowski.

Nagórny.

nictwo, brak charakteru, ciemnotę, — gotów zaś przyjąć do łona narodu wszystkie elementy, aczkolwiek różniące się pochodzeniem, jeśli tylko dostrzega w nich szczerą miłość Polski.

Jeż nie bawi się w kunszt literacki, nie pisze dla smakoszów, nie ma na oku formy, ale treść: szablą pisze.

On.

C. P. K. W.

i zebranie delegatów wielkopolskich.

Walne zebranie delegatów zgodziło się na niżej podany projekt statutu dla centralnego polskiego komitetu wyborczego na rzeszę niemiecką. Obecnie jest zadaniem komisyi, złożonej z czterech delegatów, przeprowadzić w tej materyi rokowania z innemi naczelnemi władzami wyborczemi i przedłożyć wynik komitetowi prowincyonalnemu i delegatom, którzy zaopiniują o losach projektowanego statutu.

Na wstępie należy się uznanie dla komitetu, że w przeciągu dość krótkiego czasu ukończył swe prace przygotowawcze i w myśl wnioskodawców: pp. Dr. Rzepeckiego i dr. Stasińskiego oraz innych delegatów jeszcze przed wyborami do sejmu poddał pod obrady swój projekt i to projekt skrupulatnie przemyślany. Za pełnienie obowiązku nie odbiera się orderów, z tego tytułu przeto nie mógłby komitet rościć sobie pretensyi do chwały, wszelako *dobre* pełnienie obowiązków winniśmy uznać, tem więcej, że w służbie publicznej nie zawsze spotykamy należytą sprężystość.

Być może, że na aktywność naszego komitetu wpłynęły dodatnio nowe warunki, w jakich komitet i delegacya znalazły się wskutek zwycięskich walk ludowców ze zwolennikami dawnego porządku rzeczy. Być może, że pewien ożywczy powiew, jaki odtąd zawiał w naszem życiu publicznem, oddziałał zbawiennie na nasz komitet prowincyonalny.

Rzeczą pewną jest, że przewrót dokonywujący się u nas nie pozostał bez wyraźnego wpływu na delegatów. Aczkolwiek w obecnym swym składzie delegacya jest przeważnie konserwatywno-klerykalną, czując się zaszachowaną, płynie z popularnym prądem. Dawniej prawdopodobnie nie dopuściłaby bodaj wcale do podjęcia na seryo wniosku zrodzonego w kołach opozycyi. Dziś zaś nazywa go sympatycznym i feruje uchwałę zgodną z intencyami kół ludowych. Jest to znak czasu.

Oczywiście nie wynika z tego, aby koła wyborcze przy elekcyi delegatów — która odbędzie się po wyborach do sejmu — miały pozostawić wszystko przy starem.

Nie! Wyborcy winni bacznie przestrzegać, by ich delegat był wiernem odbiciem ich przekonań politycznych. Nie mniej jednak musimy przyznać, że komitet i delegacya wielkopolska przynajmniej pozornie przybrała się w barwy ludowcowe.

Nowa najwyższa władza wyborcza ma być zespoleniem wszystkich polskich organizacyi wyborczych. Dla tego — jak objaśniał sekretarz komitetu dr. Krysiewicz — musi przyjąć na siebie pewną część praw i obowiązków, przysługujących dotąd poszczególnym komitetom prowincyonalnym. W toku ubiegłej kampanii wyborczej okazała się potrzeba takiej centralnej władzy wyborczej, która mogłaby zawierać kompromisy z innemi partyami a przytem kierowała się nie interesem prowincyi lecz ogółu. Aby komitet centralny mógł zawierać kompromisy, należało wyposażyć go prawem oznaczania przed każdemi wyborami w których okręgach Polacy (nie kto) mają być postawieni jako kandydaci na posłów.

Niezawodnie w tym punkcie projekt spotka się z opozycyą, bo niefortunny kompromis z ks. Taschem odjął wiarę w kompromisy, a bezwzględno opozycyjne stanowisko centrowców wobec nas zdaje się wykluczać możność i ewentualność układów. Zresztą bardzo wielu głosi zasadę, iż powinniśmy we wszystkich okręgach czy to w kraju, czy na emigracyi bezwzględnie stawiać polskiego kandydata. W gruncie rzeczy sami wnioskodawcy i autorowie projektowi stoją na tem samem stanowisku, polegają jednakże na takcie i politycznym rozumie komitetu centralnego i liczą na to, że komitet nie posunie się do nadużyć swej władzy. A widząc bądź co bądź ewentualność kompromisu, wyposażyli komitet w te kompetencye.

Na trzeci punkt § 10. — jak pisaliśmy w ostatnim numerze — zgodzą się

Felieton teatralny.

Siedziałem zatopiony w książkach o ziemi mazurskiej, jej lasach ciemnych i wodach rozmarzonych, wśród map, rycin i pejsażów, do których przykuwało mnie tyle a tyle świeżych wspomnień. — Wrażenia odebrane w podróży poczęły się zbiegać, oplatać mi głowę rojami. Pierzchły mi z przed oczu mury pokoju redakcyjnego, pierzchnął Poznań i ten cały nasz światek zapadł się w czeluście zapomnienia.

Wokoło mnie był tylko las. Oddychałem znowu powietrzem przepojonem żywicą, spoczywałem na zacisznej polanie wysłanej fioletowym kobiercem wrzosu, odkrywałem w gęstwinie olchów stawy i brnąłem znowu w bezbrzeżny świat drzew, żyjący jakiemś własnem, odrębnem życiem — cudnem, mistycznem. Niby zahypnotyzowany szedłem i szedłem coraz dalej od zgiełku środowisk ludzkich, rzucałem się w orgii zieleni, kąpałem w wielkiej ciszy i zdało mi się, że tą drogą zbliżam się do zaczarowanego miejsca, gdzie rozwięzuje się zagadkę wszechbytu.

A drzewa, podając jedno drugiemu tajemnicze słowa, szumiały mi nad głową, kołysały harmonią aż zatraciwszy coś z siebie, zespoliłem się z naturą, przelałem duszę w istotę boru wiekowego i, jak nasz „poeta spiżu“

...uczułem, że szumiące drzewa
Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.

W tym szumie grały mi echa dawnych utraconych wierzeń — w szczerość uczuć, w szlachetność motywów, w wielkość dusz... I tak padałem z rozwartemi ramionami na łono natury, owiany zefirem nieziemskiego pokoju, ogromnie daleki od Poznania.

Nagle rozwarły się drzwi i stanął przedemną wydawca „Pracy“ z gazetą w ręku. — Dziewiętnastego pierwsze przedstawienie — rzekł. Niechno pan sięgnie po swe pióro krytyka.

Przetarłem oczy dłonią.

Redakcya — Poznań — Teatr!...

— A — tak — wyszeptałem w odpowiedzi, czując, że opanowuje mnie uczucie *malaise'y*.

Teatr, ów tak ważny w życiu naszem czynnik kulturalny, przybywa nam, obiecując wiele chwil przyjemnych. Przez operetki odciąga od „Apolina“ z ulicy Rycerskiej niewybrednych miłośników podkasanej Melpomeny, przez komedye i dramaty zbliża nas do wielkich centr umysłowego życia, wnosi promień literatury i piękna, budzi miłość języka naszego, budzi ducha.

Spieszmy więc w sobotę na powitanie dawnego przyjaciela! Zastaniemy tam między innemi — „ciotkę na wydaniu“. Co prawda musi to być mebel nieznośny — taka pani ciotka, która zamiast zapisać fortunę siostrzeńcowi, myśli o ślubie, mizdrzy się do kawalerów. Atoli baczność, złota młodzieży! W sobotę poznamy w teatrze — *„posażną* jedynaczkę“ kwia

bodaj wszyscy. Praktyczna jego doniosłość byłaby się mogła okazać w sprawie wyboru pana Kulerskiego.

Czując, że działalność komitetu w tych ramach byłaby ciasną, powierzono mu założenie centralnego biura informacyjnego, przez co myśl ta oddawna propagowana i popularna w obu stronnictwach zbliża się ku urzeczywistnieniu. Biuro takie stanowiłoby archiwum naszych spraw społecznych, w pierwszym zaś rzędzie miało na celu dostarczenie posłom opracowanego materyału, oraz informowanie prasy polskiej i — obcej, by prostować fałsze rozsiewane ze źródeł hakatystycznych.

Wysunięto także projekt, aby komitet centralny zajął się opodatkowaniem wszystkich Polaków pod berłem pruskiem. Wskazując na Irlandyę, która drogą dobrowolnego podatku pozyskała znaczne fundusze na cele narodowe i dzięki temu rozwinęła szeroką agitacyą, delegat kościański p. Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa przemawiał za taką samą procedurą u nas. Jest to myśl nader sympatyczna, wszelako przeprowadzenie jej w praktyce napotkało-by na trudności, z których przynajmniej na razie nie wiadomo jak wybrnąć. W każdym razie jest to projekt, który poddajemy pod rozwagę społeczeństwa.

Czy inne dzielnice przyjmą bez zastrzeżeń projekt utworzenia komitetu centralnego — jest pytaniem, na które nie można odpowiedzieć stanowczo. Wiadomo wszakże, że Berlin, Westfalia i Śląsk wyraziły niedwuznacznie życzenie powołania do życia centralnego ciała wyborczego, a Prusy Zachodnie także zapewne przyłączą się do centrali wyborczej, jak wnosić można z przychylnego stanowiska pelplińskiego „Pielgrzyma“ wobec projektu. Tak więc w zasadzie wszyscy zgodnie pragną stworzyć widomą władzę wyborczą, królującą nad wszystkiemi dzielnicami, zamieszkałemi przez Polaków.

Jakie korzyści przyniesie ewentualny komitet centralny należeć będzie w gruncie rzeczy nie tyle od brzmienia statutu ile od członków, którzy martwej literze nadadzą istotne znaczenie.

Quis.

Projekt statutu dla Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego.

§ 1. Centralny Polski Komitet Wyborczy na Rzeszę niemiecką jest najwyższą władzą wyborczą dla wszystkich Polaków, uznających poszczególne polskie władze wyborcze, istniejące w obrębie Rzeszy niemieckiej.

§ 2. Siedzibą C. P. K. W. jest Poznań.

§ 3. Członków C. P. K. W. wybierają z pośród siebie naczelne władze polskich organizacyi wyborczych, a zatem 1) w W Ks. Poznańskiem 2) w Prusach Zachodnich, Warmii i Mazurach, 3) na Śląsku i 4) na emigracyi.

§ 4. C. P. K. W. składa się z 11 członków i tyluż zastępców, z których 4 wybiera W. Ks. Poznańskie, 3 Prusy Zachodnie i Warmia, 2 Śląsk i 2 emigracya.

§ 5. Wyboru członków C. P. K. W. dokonuje się co 5 lat po wyborze wymienionych naczelnych władz wyb., najpóźniej zaś w marcu pierwszego roku każdego pięciolecia.

§ 6. Członkowie C. P. K. W. wybierają z pośród siebie zarząd.

§ 7. Członkowie C. P. K. W. zbierają się na wezwanie prezesa. Prezes zaś zobowiązany jest zwołać zebranie, jeśli 5 członków tego zażąda. Siedmiu członków obecnych stanowi komplet.

§ 8. Członkom zamiejscowym zwraca się koszta podróóży.

§ 9. Wydatki C. P. K. W. pokrywają poszczególne organizacye wyborcze w stosunku do liczby członków zasiadających w C. P. K .W. a więc W. Ks. Poznańskie $^4/_{11}$. Prusy Zachodnie $^3/_{11}$, Śląsk $^2/_{11}$, emigracya $^2/_{11}$.

§ 10. Do czynności C. P. K. W. należy 1) Oznaczenie przed każdemi wyborami do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego okręgów wyborczych, w których Polacy mają być postawieni, jako kandydaci na posłów. 2) Zawieranie ew. kompromisów z innemi stronnictwami. 3) Załatwianie w ostatniej instancyi ew. sporów, zachodzących pomiędzy władzami wyborczemi a wyborcami. 4) Ustanowienie biura informacyjnego, mającego trudnić się tworzeniem potrzebnych polskich organizacyi wyborczych, gdzie ich niema oraz działaniem przez pisma ulotne i prasę na opinią publiczną mianowicie niemiec-

---

dość rzadko rozkwitający, więc... sapienti sat. Chociaż dostęp do owej jedynaczki nie będzie tym razem „po cenach do połowy zniżonych“, nie wątpię, że stawi się nawet falanga młodzieży, zatwardziałej w grzesznem starokawalerstwie.

Ciesząc się naprzód radością Poznańczan, spozieram na me zardzewiałe pióro krytyka. Lecz w tem radość pierzcha, ogarnia mnie znowu uczucie jakieś nieokreślone, niemiłe a myśl czmycha w lasy mazurskie.

Pióro krytyka teatralnego, którem orałem tyle lat glebę dziennikarską obcą i rodzinną, wydaje mi się tu w Poznaniu okropnie, nieznośnie ciężkiem. Z zaparciem się siebie wszakże zdejmuję je ze ściany, lecz — cóż to?! Brrr...... Wylęgły się pod niem roje jakiegoś plugawego robactwa, które pełza ze szybkością mrówek, zagrażając memu odzieniu. Ciemność mnie ogarnia, w której rozpoznaję kontury jakichś karłów czy liliputów, rozpoznaję ich oczy wytrzeszczone uporczywie, wpijające się we mnie jak pijawki. Tu wyłupiaste oczy martwe w niemiłem osłupieniu, tam wzrok naszpilkowany zjadliwością, tam źrenice płynące przymilno-słodkim fałszem, tam łyska iskierka pospolitej zazdrości, dalej.... Już nic nie wiem, słyszę tylko szept czy syk, przejmujący dreszczem wstrętu. Brak jeno chyba głowy Meduzy, co zmieniłaby obrzydzenie w przerażenie, a mnie w bryłę kamienną.

Ciskam precz pióro, i — pędzę do wydawcy. Opowiadam mu o wszystkiem, wyrzekam się dźwigania ciężkiego pióra — w Poznaniu.

— Cóż począć? — mówi wydawca. Gdzież znaleść krytyka teatralnego? Rzecz nie łatwa....

— Ależ u nas w bród krytyków — tłomaczę, — każdy Poznańczanin rodzi się krytykiem, a być krytykiem teatralnym jest jednem z najpiękniejszych marzeń każdego gymnazyasty.

— No, tak — przerywa mi z uśmiechem wydawca — lecz od krytyka wymaga się prócz znajomości literatury, wyrobionego poczucia estetycznego i artystycznego, wymaga się obycia ze sceną, wytrawnego sądu i — last but not least — poczucia bezwzględnej sprawiedliwości....

— U nas w kraju wybranym — przerywam znowu z determinacyą — jest przecież tylu wielkich ludzi, a każdy wielki człowiek *u nas* zna się jak wiadomo, na wszystkiem, więc nie będzie trudno....

— Ha! Szukajcie a znajdziecie, powiedziano, a zatem, jeżeli koniecznie.....

Uf! Oddycham pełną piersią, kamień spada mi z serca. Nie kryję się już w lasy mazurskie, lecz poczynam radować się z przybycia teatru. U progu sezonu posełam mu życzenie: „quod bonum, faustum, felix, fortuna tum que sit!“ i z całym Poznaniem wołam niech żyje nasza scena narodowa!

Roman Rola.

ką. (Dodatek 4. ma być jeszcze zredagowany odpowiednio przez Komisyą.)

§ 11. Uchwały C. P. K. W. zapadają większością głosów obecnych i są nieodwołalne; obowiązkiem zaś poszczególnych organizacyi wyb. wchodzących w skład C. P. K. W. jest dopilnowanie ich wykonania. W razie równości głosów decyduje przewodniczący.

§ 12. Uchwały swoje ogłasza C. P. K. W. w pismach publicznych; z poszczególnemi zaś organizacyami wyb. znosi się za pośrednictwem władz naczelnych.

Poznań, w wrześniu 1903.

Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Proces

o rozruchy w Hucie Laury.

I.

Wypadki, które dały powód do wytoczenia tego ogromnego procesu, rozegrały się w dniu 21-go czerwca rb., więc na kilka dni przed wyborem ściślejszym między obecnym posłem *Korfantym*, a kandydatem centrowym *Letochą*. Ludność polska w okręgu katowickim była ogromnie wzburzona. Nie dość, że strona niemiecka dopuszczała się w agitacyi rozmaitych nadużyć, niedość, że księża germanizatorzy, zachęceni do tego znanym listem pasterskim kardynała Koppa nadużywali do agitacyi przeciwko narodowemu polskiemu kandydatowi kazalnicy, konfesyonału i wszelkich innych wpływów swoich, ale nadto odmawiano polskim wyborcom wszędzie sali na zebranie, podczas gdy centrowcy mogli obradować swobodnie. Miejscowy proboszcz, ks. Schwieder, mimo że dobrze wiedział, jakie jest usposobienie polskiej ludności miejscowej, że ogromna przygnatająca wprost większość pragnie mieć posłem p. Korfantego, postanowił raz jeszcze popróbować, ażali nie powiedzie mu się przeciągnąć chociaż części parafian na stronę Letochy. W tym celu zwołał zebranie centrowe na dzień 21. czerwca do sali Ludwiga. Była to niedziela, lud wolny był od pracy, nie dziw więc, że sala na długo przed oznaczoną godziną zapełniła się po brzegi, — jak inaczej zaś być nie mogło, przeważnie zwolennikami *polskiego* kandydata. Ci, którzy już w sali pomieścić się nie mogli, a było ich kilka tysięcy, stali zwartym tłumem przed lokalem.

Posłuchajmy teraz, jak przebieg zajść owych przedstawia strona *niemiecka*:

Już, gdy proboszcz miejscowy pojawił się na estradzie, aby zagaić zebranie, odezwało się w sali głośne wycie („gejohle") i gwizdanie, pomieszanie z okrzykami na cześć Korfantego i złorzeczeniami przeciwko duchowieństwu. Proboszcz daremnie usiłował przemówić do tłumu. Wrzawa wzmagała się z każdą chwilą, wkrótce zaś tłum przybrał wobec osób, znajdujących się na estradzie, wręcz *groźną postawę*. Proboszcz, widząc to, uznał za stósowne opuścić salę tylnemi drzwiami i schronić się na plebanię. Wówczas wtargnęli do sali *żandarmi* i wypędzili z niej zebranych. Ci atoli, którzy stali przed lokalem, nie chcieli *podobno* usłuchać wezwania, aby się rozeszli, lecz hałasowali dalej, wznosząc bezustannie okrzyki na cześć Korfantego. Jeden z robotników miał obrazić policyanta, nie czynnie lecz słowami. Gdy policyant chciał go aresztować, tłum *podobno* starał się temu przeszkodzić. *Wówczas policyanci dobyli pałaszy i uderzyli na tłum*, równocześnie wezwali do pomocy *straż pożarną*. Ta przybyła wkrótce z dwiema sikawkami i zaczęła oblewać tłum silnemi strumieniami wody. Lecz ta zimna kąpiel zamiast ochłodzić umysły wzburzone, jeszcze je bardziej rozpaliła. Tłum rzucił się na straż, odebrał jej sikawki i skierował węże na policyą. Następnie *podobno* — poprzecinano węże, porozbijano sikawki i wrzucono je do stawu hutniczego. Oprócz tego miano obrzucać policyą i urzędników kamieniami i ziemią, tak iż nie było podobno urzędnika, który nie odniósł jakiegokolwiek guza. Najgorzej *podobno* tłum obszedł się z naczelnikiem straży, bo *podobno* powalono go na ziemię, bito i kopano, wskutek czego chorował przez czas dłuższy. Następnie tłum, w sile około 3000 głów, „wyjąc (johlend) i krzycząc" ruszył przed gościniec huty, w którym miejscowy „Bürgerverein", czyli niemieckie towarzystwo obywatelskie obchodziło rocznicę swego istnienia. Tłum obrzucił *podobno* gościniec kamieniami i wybił w nim wszystkie szyby. *Nawet kobiety i dzieci znosiły podobno na ten cel kamienie.* Tam ktoś krzyknął: *„Dalej na probostwo!"* Wezwanie to przyjęto rzekomo z radosną wrzawą. W jednej chwili tłum pobiegł przed plebanią i tam również powybijał okna. Część rzuciła się nawet do tylnych drzwi plebanii rozbiła je, bijąc w nie ciężkiemi deskami, a nawet *podobno* wtargnęła do wnętrza i tam wszystko zdemolowała. Proboszcz tymczasem schronił się do kościoła. Z pod probostwa tłum pociągnął ulicą hutniczą przed *Zarząd gminny*. Po drodze wybito szyby w willi radcy komercyjnego Fitznera. Przed urzędem hutniczym zastąpiła biegnącym drogę *policya*. Gdy zaś tłum zdradzał zamiar rzucenia się na policyantów, *ci użyli broni palnej i dali salwę do ludu. Od kul zginął na miejscu kotlarz Trafalczyk, inni odnieśli rany. Liczba rannych była wogóle* wielka, i to nietylko od kul, ale *i od cięć pałaszami*. To dopiero sprawiło, że tłum rozbiegł się do domów. Sprowadzona krótko potem kompania piechoty z Bytomia nie znalazła już sposobności do wkroczenia.

Tak opisują zajścia źródła *niemieckie*, tak mniejwięcej przedstawia je także *akt oskarzenia*. Z zeznania oskarzonych i świadków przekonają się czytelnicy, ile w powyższej relacyi było *prawdy*.

Pod osłoną wojska dokonano zaraz oraz w następnych dniach dużo *aresztowań*. Wiadomo, że w celu wyśledzenia rannych, zabrano miejscowemu lekarzowi dr. *Stęślickiemu* jego „dziennik" lekarski. Między aresztowanymi znajduje się także *ojciec* i *brat* posła *Korfantego* oraz odpowiedzialny redaktor „Górnoślązaka" p. *Wicik*. Ogółem oskarzono *o rozruchy, bunt przeciwko władzy, zbiegowisko i zakłócenie spokoju krajowego* przeszło 70 osób, z których obecnie zasiadło na ławie oskarzonych następujących 66:

1) Robotnik Jan Kuźma. 2) Górnik Robert Kowoll. 3) Robotnik Franciszek Szwersiński. 4) Robotnik Leopold Depta. 5) Robotnik Michał Statnik. 6) Robotnik Teofil Kowolik. 7) Robotnik Wilhelm Viola. 8) Szkolarz Alojzy Chudek. 9) Robotnik Paweł Woźnica. 10) Robotnik August Ochmann. 11) Ciskacz Jan Kapias. 12) Robotnik Hugon Pietrzek. 13) Robotnik Karol Pohl. 14) Robotnik Józef Budny. 15) Zecer Artur Wicik. 16) Górnik Juliusz Szulc. 17) Woźnica Juliusz Kubik. 18) Górnik Wilhelm Lehnert. 19) Kowal Paweł Koźlik. 20) Pisarz Antoni Sollik. 21) Mularz Franciszek Gamsa. 22) Górnik Adolf Czerner. 23) Ciskacz Paweł Stochnioł. 24) Robotnik H. Wrobel. 25) Ciskacz Józef Wrowosz. 26) Górnik August Chrobok. 27) Górnik Karol Żyłka. 28) Górnik Franciszek Schier. 29) Górnik Jan Frania. 30) Robotnik Brunon Kubecki. 31) Robotnik Franciszek Drzewiecki. 32) Górnik Andrzej Korfanty, brat posła. 33) Inwalida Józef Korfanty, ojciec posła. 34) Muzyk Paweł Szendzielorz. 35) Dozórca Józef Warzecha. 36) Robotnik Franciszek Wolny. 37) Robotnik

Karol Tarara. 38) Kupiec Emanuel Morgała. 39) Szkolarz Józef Kowoll. 40) Robotnik Jerzy Nietsch. 41) Robotnik Paweł Nierychło. 42) Inwalida Jan Maszczyk. 43) Robotnik Antoni Szlapa. 44) Robotnik Wawrzyniec Holombek. 45) Monter Jan Czapla. 46) Mularz August Olejnik. 47) Pudlerz Franciszek Kałuża. 48) Robotnik Błażej Gruner. 49) Robotnik Jan Surma. 50) Górnik Wincenty Stolarczyk. 51) Robotnik Edward Kużaj. 52) Pudlerz Szymon Fron. 53) Robotnik Herman Pradella. 54) Kupiec Emanuel Dreja. 55) Górnik Karol Przybyła. 56) Robotnik Jan Mausfeld. 57) Górnik Ignacy Otawa. 58) Górnik Teofil Maus. 59) Górnik Józef Czech. 60) Robotnik Teodor Plewnia. 61 Górnik Jan Szudiga. 62) Ciskacz Karol Jochimczyk. 63) Górnik Juliusz Ryszka. 64) Górnik Franciszek Szołtysek. 65) Robotnik Jan Frach. 66) Górnik Teodor Piotek.

Oskarzeni pochodzą głównie z Laurahuty, Siemianowic i z pobliskich kolonii Sadzawki, Hugona i Wandy. 27 z nich było dawniej już karanych. Trzydziestu dziewięciu odpowiadało z wolnej stopy, 27 przyprowadzono z więzienia śledczego, w którem niektórzy pozostawali od dwóch miesięcy, inni od kilku tygodni. Niektórzy z oskarzonych byli już dawniej karani za rozmaite cięższe przewinienia. Dzieje się to prawie zawsze w takich razach, że do ludzi uczciwych, działających jedynie z czystych, moralnych pobudek, przyłączają się żywioły z zaszarganą już przeszłością. W tym wypadku na szczęście nie było ich wiele. Ogromną większość podsądnych stanowią ludzie nieposzlakowani, którzy po raz pierwszy znaleźli się na ławie oskarzonych.

Akt oskarzenia zarzucał wymienionym powyżej pod numerami 1 do 40: 1) że wspólnemi siłami popełniali gwałty przeciwko osobom i przedmiotom cudzej własności; 2) że wśród gróźb stawiali opór urzędnikom, a nawet ich *czynnie znieważyli.* Pod tym względem miał się szczególnie odznaczyć oskarzony *Kuźma.* Oskarzonym pod numerami 3 do 7 zarzucała prokuratorya oprócz tego, że także na własną rękę niszczyli cudzą własność, — oskarżonym od 8—14, że tak samo znieważali urzędników i inne osoby.

Natomiast oskarżeni od nr. 41 do 66 objęci byli aktem oskarżenia jedynie dlatego, ponieważ po rozwiązaniu owego zebrania centrowego nie opuścili natychmiast na wezwanie żandarmów sali obrad.

Trybunał składał się z pp. dyrektora sądu ziemiańskiego *Beselera,* jako przewodniczącego, z sędziów *Ehma, Knoblocha, Frankego,* oraz asesora *Heinischa.* Jako oskarżyciel występował starszy prokurator *Pipper.*

Obrony oskarżonych podjęło się trzech adwokatów Polaków, a mianowicie pp. dr. *Rożański,* dr. *Adamczewski* i dr. *Seyda,* oraz 3-ch żydów: pp. Herrnstadt, Steinitz i Neumann.

Adwokat dr. *Czapla,* zwolennik „Katolika,“ który również miał bronić oskarżonych *cofnął się w ostatniej chwili.* Z jakich przyczyn — nie wiadomo.

Publiczności do sali wpuszczono bardzo mało i tylko za biletami, razem około 20 osób, przeważnie krewnych oskarzonych. Liczny natomiast był zastęp reprezentantów prasy; przybyło ich razem 15 — w tej liczbie 6 polskich.

* * *

Proces rozpoczął się we wtorek, dnia 8. bm., o godz. dziewiątej. Oskarzeni— jak donosił „Głos ślązki“ — nie sprawiali bynajmniej wrażenia *przygnębionych.* Na pytanie przewodniczącego odpowiadali śmiało, z widoczną pewnością siebie. Snać żaden nie poczuwał się zbytnio do winy, żaden nie przypuszczał, żeby go mogła spotkać jaka sroga kara. Wyjątek stanowiło tylko kilku malców szkolnych, którzy rozwartemi szeroko ze strachu oczami spoglądali na surowe oblicza sędziów i prokuratora, na krzyż na stole — to znamię męki, ale zarazem *miłosierdzia* Chrystusowego — i na całe niezwykłe otoczenie swoje.

Rozpoczęły się przesłuchy. Okazało się — ponownie — jak słabemi tylko rezultatami nawet w kierunku germanizatorskim poszczycić się może pruska szkoła dzisiejsza. Znaczna część oskarżonych, zwłaszcza młodszych, nie władała dostatecznie językiem niemieckim, aby mogła odpowiadać w tym języku. Wskutek tego przewodniczący, chociaż jak się zdawało niechętnie, przywołał tłomacza w osobie sekretarza sądowego p. *Ondeski.* W toku rozpraw przekonano się, że ten pan tłomacz nie zawsze co do swej znajomości języka polskiego stał na wyżynie swego zadania.

Zanim sami damy pogląd na rezultat przesłuchów — przytoczymy tu trafne spostrzeżenie, jakie zrobił korespondent jednej z najuczciwszych wobec Polaków gazet niemieckich, liberalnej *„Frankfurter Zeitung“.* Pan ten pisze: „To, czego się dowiedziano z aktu oskarżenia dziś rano — nie obejmuje wbrew wielostronnym oczekiwaniom — *żadnych politycznych momentów; nie ma w tem ani zdrady stanu, ani wielkiego jakiego spisku politycznego, jest jedynie rozpętana dusza wzburzonego ludu, podrażnionego taktyką niektórych duchownych, którzy z ambon w małomądry sposób omawiali znany list pasterski ks. kard Koppa.“*

Uwagi te zupełnie trafne. My dodalibyśmy jedynie, że ludzie ci podrażnieni byli nietylką ową „taktyką“ księży germanizatorów, ale także całą polityką antypolską, która dotkliwie daje się we znaki ludowi polskiemu od ławy szkolnej aż do śmierci.

Lecz wróćmy do zeznań oskarżonych. Brzmiały one niekiedy dziwnie i rzucały jaskrawe światło na stan rzeczy tego biednego,, gnębionego ze wszech stron ludu. Z wyjątkiem kilku, żaden z nich nie przyznawał się do zarzucanych im win i przestępstw. I zdaje się, nie mieli też do tego powodu Wielu z nich dostało się na ławę oskarżonych jedynie wskutek własnych niemądrych przechwałek. Po tak ogromnym w ich oczach czynie jak spędzenie z pola policyi i straży pożarnej, chwalili się młodzi zwlaszcza, jak to przytem dokazywali, chociaż w rzeczywistości z daleka zaledwie spoglądali na to, co się działo, lub w ciemnościach nic nie widzieli. Innych znów sprowadziła do tej sali *denuncyacya* „kolegów“ lub nieprzyjaciół.

Weźmy naprzykład pierwszego i rzekomo jednego z głównych winowajców piętnastoletniego *Kuźmę.* Oskarzenie zarzucało mu, że razem z oskarzonym *Kowollikiem* przewrócił sikawkę i że był obecnym przy jej zniszczeniu. On tymczasem twierdził, że wcale nie był przy sikawce, że widział tylko z daleka, jak niejaki *Gojny* na niej jechał do stawu i jak ją przy pomocy innych topił w stawie. (Gojny należy do mniejszej seryi oskarzonych o naruszenie spokoju krajowego, do rzekomych hersztów zaburzeń, którzy w dniu 28 bm. staną przed sądem przysięgłych.) On — Kuźma— stał spokojnie i tylko się dziwił wszystkiemu, co się działo; gdy mu się zaś zdawało, że zgubił w tłumie kapelusz, powiedział do swoich towarzyszów, że „się pomści za to!“ — ale powiedział to tylko *żartem.* Dalej słyszał, jak ów Gojny wołać miał: „chodźmy wszyscy na policyą!“

Tu przyszło do pierwszej kontrowersyi z tłomaczem, który był zdania że ów wykrzyknik: „chodźmy na policyą“ — oznaczał: „uderzmy na policyantów;“ polscy obrońcy natomaist twierdzili, że Gojny wzywał ludzi, ażeby udali się do urzędu policyjnego.

Kuźmie trudno było odpowiadać po niemiecku, jego obrońca dr. *Różański* żądał więc, aby wolno mu było zeznawać po polsku. Pan przewodni-

czący — poddawszy oskarzonego ścisłemu egzaminowi odrzucił jednak ten wniosek.

Oskarzony *Szersinski* pobiegł na miejsce zaburzeń dopiero, gdy ujrzał pędzącą tam *sikawkę*, sądził bowiem, „że gdzie ogień wybuchł.“ Po tem oburzył się bardzo, gdy widział, że z sikawek ludzi oblewają wodą, bo jego zdaniem, „sikawki są do gaszenia ognia a nie na taki cel.“

Także *Kowollik* wypierał się udziału w niszczeniu sikawki twierdząc, że przybiegł na miejsce, gdy już było „po wszystkiemu.“ Natomiast oskarżony *Viola* przyznał się, że wybił 3 szyby w oberzy hutniczej, do czego wzięła go niepohamowana ochota. W smutnem położeniu znalazł się dwunastoletni oskarżony *Chudek*. Ukończył on właśnie w dniu zaburzeń 12 rok życia. Gdyby te urodziny były przypadły o jeden dzień później, byłby wolny, bo dopiero od 12 roku dzieci stają się odpowiedzialnymi przed sądem. I on zaręczał, że jest niewinny.

Po całym szeregu innych — których zeznania nie zawierały nic ważniejszego, przyszła kolej na redaktora odpowiedzialnego *„Górnoślązaka“* p. *Wicika*. Akt oskarżenia zarzucał mu, że miał wołać do tłumu: *Polacy! Hr. Ballestrem powiada, że macie „pyski;“ otwórzcie je więc i wołajcie: Niech żyje Korfanty! precz z centrum!“* Oskarżony przyznał, że *powiedział* coś podobnego, ale tylko zwykłym głosem i tylko do kilku obok stojących. Że przeto nikogo tem podburzyć nie mógł.

Bardzo interesujące były zeznania oskarżonego *Solika* pisarza prywatnego. Twierdził on, że bynajmniej nie chciał podburzyć ludzi, lecz przeciwnie, usiłował ich uspokoić, że zwracał „amtowemu“ uwagę na to, że zlewanie ludzi wodą ich tylko bardziej jeszcze oburzy. Jest przytem przekonany, że *władza postępowała rozmyślnie tak, jak gdyby pragnęła najbardziej rozdrażnić tłum. Już na 5 dni przed zaburzeniami kazano przygotować sikawki na ten cel.*

Polscy obrońcy usiłowali zbadać, ile prawdy w tych twierdzeniach oskarżonego, ale p. przewodniczący przeszkodził temu. Tak samo nie dozwolił wybadać oskarżonego, kto go nakłonił do zwolnienia dr. Stęślickiego z tajemnicy lekarskiej?

Sensacyą dnia drugiego było przesłuchanie pp. *Korfantych*, brata i ojca posła *Wojciecha Korfantego*. Pierwszy zaprzecza stanowczo wszelkim zarzutom — drugi również twierdzi, że zarzucanego mu okrzyku: *Polacy! nie dajcie się!* nie wydał. Prokuratorya opiera ten zarzut głównie na zeznaniu 13 letniego chłopca *Woźnicy*, który miał słyszeć jak ojciec Korfanty tak wołał.

Teraz nastąpiła scena dramatyczna: Mały Woźnica zgłasza się i z płaczem oświadcza, że okrzyku tego nie słyszał, że w śledztwie zeznał fałszywie, a uczynił to jedynie, ze strachu przed sędzią śledczym i żandarmem, którzy grozili mu aresztowaniem....

Obrońcy wnieśli wobec tego o wypuszczenie *Korfantego ojca* z więzienia śledczego, *lecz trybunał i ten wniosek odrzucił*. Wogóle — pan przewodniczący był bardzo niełaskaw na wnioski obrońców, szczególnie *polskich*.

Zeznania dalszych oskarżonych również nie zawierały nic ważnego. Okazało, się że wielu *niemieckiego* wezwania do rozejścia sie nie zrozumiało, że inni sądzili, iż po pierwszem rozwiązanem zebraniu nastąpi drugie — i dlatego sali nie opuszczali.

Plon zeznań nie był obfity....

Raciborzanin.

Cesarz Franciszek Józef
w Galicyi.

Kraków, dnia 14 września.

Przypuszczenie, jakie wypowiedziałem w poprzednim moim liście, spełniło się. Pobyt cesarza Franciszka Józefa we Lwowie stał się ważną manifestacyą polityczną, ważną nie tylko dla nas Polaków, (zwłaszcza galicyjskich), ale także dla całej *Austryi*, a poniekąd także dla jednego z jej sprzymierzeńców. Rząd austryacki potrzebuje dziś Polaków bardziej, niż kiedykolwiek, skorzystał więc z sposobności, ażeby przez usta cesarza silniej ich jeszcze przykuć do swego wozu. A to — zapewne najzupełniej mu się powiodło.

Przyjęcie, jakiego Franciszek Józef doznał znów w Galicyi, zwłaszcza we Lwowie, było nad wyraz serdeczne. Ludność na jego powitanie wyległa tłumnie, okrzykom: „niech żyje!“ nie było końca. Program wjazdu cesarza do stolicy kraju w ostatniej chwili uległ pewnej zmianie. Włączono doń jeszcze odwiedzenie *ruskiej katedry św. Jura*. Stało się to na osobiste życzenie arcybiskupa — metropolity Szeptyckiego, który prawdopodobnie pragnął tem osłodzić Rusinom chociaż w części zawód, doznany z innej strony. Narodowcy ruscy czynili usilne starania, aby cesarz przyjął także osobną deputacyą *ruską*, jako reprezentacyą „narodu ruskiego.“ Starania te napotkały jednakże na opozycyą w namiestnictwie. Rusinom zwracano tam uwagę, że deputacyi sejmowa reprezentować już będzie *cały* kraj, wszelkie narodowości i warstwy ludności, dalej że z takiem samem prawem mogliby żądać przyjęcia swych deputacyi także bardzo liczni w Galicyi *żydzi* i bardzo *nieliczni Niemcy*. Rusini nie uznali jednakże tych argumentów za słuszne i wskutek odmowy nie wzięli wogóle udziału w przyjęciu u cesarza. Pobyt zaś cesarza w katedrze św. Jura miał charakter czysto religijny i trwał zaledwie kilkanaście minut, poczem monarcha udał się wprost do katedry rzymsko katolickiej na mszą, którą odprawił arcybiskup rzymsko-katolicki ks. Bilczewski. Mimo nieobecności Rusinów marszałek krajowy hr. *Badeni*, w mowie swej, wypowiedzianej następnie w gmachu namiestnictwa na posłuchaniu deputacyi sejmowej u cesarza, wygłosił jeden jej ustęp w *języku ruskim.*

Mowa ta była wprost świetna a zawierała ważny dla Galicyi postulat co do sejmu. Świadczy to pochlebnie o samodzielności i obowiązkowości marszałka krajowego, że ten postulat włączył do mowy i że tem sprowokował nie mniej ważne oświadczenie cesarza. Przypuszczać można, że rząd dr. Koerbera przy układaniu resp. cenzurowaniu tej mowy niechętnie tylko na to się zgodził.

Na wstępie swej mowy hr. Badeni dał wyraz uczuciom miłości i wdzięczności, jakiemi przejęta jest dla cesarza ludność Galicyi i zapewnił, że na tym czynniku monarcha zawsze bezwzględnie polegać może. Potem powiedział mniejwięcej co następuje:

„Pod berłem Twojem znaleźliśmy bezpieczną przystań dla *naszego rozwoju narodowego i bytu*. Coraz głębiej też utwierdza się w umysłach naszych przekonanie, że rozwój ten narodowy jest w stanie zapewnić nam tylko monarchia, silna swym wewnętrznym ładem a potężna swoją siłą zewnętrzną, Reprezentanci naszego kraju czynią też wszystko co mogą, ażeby wsunąć lub złagodzić przeszkody i trudności, które utrzymaniu potęgi monarchii stoją w drodze.

„Z zupełną ufnością w Twą łaskę monarszą, prosimy Ciebie, Najjaśniejszy Panie, ażebyś i nadal roztaczał swą ojcowską opiekę nad naszym krajem, który pomimo usiłowań, przechodzących często jego możność, pomimo trwałej, ciężkiej, a zawsze spokojnej i poważnej pracy, *nie może w granicach środków, jakimi Sejm rozporządza, podołać zadaniom, które na nim ciążą*, zużytkować i należycie roz-

[illegible] darów przyrody, jakimi go Opatrzność obdarzyła."

Wspomniawszy następnie o wielkich klęskach, jakie nawiedziły Galicyę w bieżącym roku w postaci powodzi oraz innych katastrof, złożywszy serdeczną podziękę monarsze za jego datek osobisty dla dotkniętych temi klęskami i za przyrzeczoną pomoc rządową, zaznaczył marszałek dalej, że pomoc ta *ulży nędzy*, ale *jej nie usunie*. Ratunkiem dla kraju w tym kierunku mogłaby być jedynie szybka a umiejętna *regulacya rzek galicyjskich*.

Ludność naszego kraju — mówił dalej — dotknięta peryodycznemi klęskami i walcząca z ogólnem przesileniem ekonomicznem, domaga się od nas energicznej akcyi ku odwróceniu złego, tem goręcej też musimy pragnąć, *ażeby kraj z nadanego nam z Twej łaski monarszej przez ustanowienie Sejmu prawa i z możności zaradzenia swoim potrzebom, w rzeczywistości i w całej pełni mógł korzystać.*

„Niezwoływanie Sejmu bowiem w odpowiednim czasie i na dłuższą sesyę, choć spowodowane ważnymi względami ogólno państwowymi, *przynosi krajowi szkodę pod względem finansowym, gospodarskim i kulturalnym.* W Sejmie i samorządzie kraju naszego widzimy wyraz *naszej politycznej indywidualności*, a mamy przekonanie i nadzieję, że przez czas dłuższy corocznie trwająca wspólna praca w Sejmie, mająca za cel jedyny dobro całego kraju i obu kraj ten zamieszkujących narodowości, może najlepiej dopomódz do zmniejszenia istniejących różnic, do wyjaśnienia nieporozumień i złagodzenia często tylko pozornych przeciwieństw.''

Marszałek zakończył swą mowę podzięką za przybycie cesarza do kraju i prośbą do Boga, aby monarchę i nadal strzegł, ochraniał i błogosławił dla dobra wszystkich ludów państwa.

Na tę mowę cesarz *Franciszek Józef* taką dał odpowiedź:

„Nie chciałem opuścić sposobności, aby choć na krótki czas pojawić się wśród was, w stolicy kraju, *który tak blizkim jest Memu sercu.*

„Cenię uczucia wierności i szczerego przywiązania, które Mi kraj ten już *wielokrotnie* okazywał, cenię je tem wyżej, że *postępowanie ludności i jej prawnych zastępców odpowiada im zawsze i w pełnej mierze.*

„Przedewszyskiem sprawia Mi to przyjemność, gdy słyszę i widzę, że reprezantanci jednego z największych krajów koronnych, *którym tego kraju narodowy rozwój w tak wysokim stopniu na sercu leży i którzy swoje historyczne tradycye wysoko cenią*, a tak głęboko przejęci są zrozumieniem tego, co nieodparcie koniecznem jest dla porządku wewnątrz państwa, dla jego nieprzerwanego duchowego i materyalnego rozwoju, tudzież *dla mocarstwowego stanowiska monarchii na zewnątrz* — że przedstawiciele tego kraju nie odsuwają się od ofiar, które dla wspólnego dobra wszyscy powołani są ponosić.

„Klęski elementarne, które kraj nawiedziły i jego niepomyślne położenie ekonomiczne, są Mi dokładnie znane i wywołują zawsze Moje głębokie i szczere współczucie.

„Mój rząd, który z całą gorliwością bada potrzeby tego kraju, będzie też w najpełniejszej mierze starał się o poparcie usiłowań kraju, *dążących do jego podniesienia i jego rozkwitu. Słusznie jednak kładziesz pan, panie marszałku krajowy, nacisk na pracę, którą w Sejmie kraju spełnić należy, tudzież w szczególności na pracę jego ustawowej reprezentacyi.*

„Rzeczywiste podniesienie kraju i wszystkich warstw ludności, niemniej wyrównanie narodowych i socyalnych przeciwieństw, może najlepiej być osiągniętem przez niezamącone usiłowanie Sejmu na polu pozytywnych zadań, jakie go oczekują od dawna.

„Z zupełnem uznaniem i zadowoleniem zwracam też uwagę, że poważnie, rozumnie i rzeczowo używa Sejm galicyjski praw, które mu nadałem. Oby jego działalność uwieńczył jak najlepszy skutek.

„Dziękując panom za okazane Mi uczucia, zapewniam panów i cały kraj o niezmiennej łasce i cesarskiej życzliwości.''

Następnie przyjął cesarz deputacyą *szlachty polskiej* z Galicyi pod wodzą kardynała Puzyny. Do tej deputacyi powiedział: „Jestem przekonany, że znajdę wśród was zawsze pewne oparcie i cieszy mnie, że *wierni waszym dziejowym tradycyom* i w pełni zrozumienia waszych obowiązków, przyświecacie ludności przykładem i poświęceniem dla publicznego dobra.'' Tak samo łaskawie przemówił monarcha do *deputacyi miasta Lwowa*. W tych dwóch ostatnich przemówieniach było — co prawda — pochwał *aż nadto!*

Żegnany z niemniejszym zapałem opuścił monarcha Lwów okło godziny pierwszej w południe, udając się do wsi *Chłopy*, w okolicy której odbywały się w ubiegłym tygodniu wielkie manewry konnicy.

Powiedzieliśmy na wstępie, że ten pobyt cesarza w Galicyi stał się *ważną manifestacyą polityczną*. I tak jest rzeczywiście. Swiadectwo, jakie wystawił monarcha *Austro-Węgier Polakom Galicyjskim, iż mimo wierności dla swych tradycyi narodowych są podporami monarchii, żywiołem, na który państwo i jego władca zawsze liczyć mogą, zadają kłam złośliwym insymacyom, jakie tak często padają pod naszym adresem z Berlina, jakoby byliśmy żywiołem nawskroś rewolucyjnym i niebezpiecznym. Cesarz Franciszek Józef nie boi się narodowego rozwoju Polaków* — przeciwnie — zapewnia, że ten *„rozwój w wysokim stopniu na sercu mu leży,''* a dla *Sejmu, który przed dwoma niespełna laty tak wymownie potępił postępowanie rządu pruskiego w sprawie wrzesińskiej, miał tylko uznanie, że poważnie, rozumnie i rzeczowo używa praw, które on mu nadał.*

Nie wątpimy, że z tego świadectwa *sprzymierzeńca* Niemiec skorzystają wasi posłowie w sejmie i w parlamencie berlińskim i że zamkną niem usta kłamliwym oskarzycielom.

Pod tym więc względem możemy być zadowoleni z tej manifestacyi. Niemniej pod drugim względem: Cesarz uznał potrzebę częstszego zwoływania Sejmu galicyjskiego i to na dłuższe sesye; potrzebę, która dla Galicyi stała się wprost *piekącą*, a wobec tego pan dr. Koerber lub jego następcy zapewne nie zechcą znów rozmaitemi kruczkami przeszkadzać zaspokojeniu tej potrzeby. *Dla Galicyi sukces to bardzo wielki!* Natomiast poparcie rządu w sprawach, stanowiących treść dzisiejszego przesilenia w Austryi na Węgrzech — o które tak wyraźnie cesarz odwołał się do Polaków i które teraz ma już jakoby zapewnione, drogo kraj nasz kosztować będzie.

W naszej prasie konserwatywnej zapanowała dziś ogromna radość. Stańczycy odnoszą naturalnie te pochwały cesarskie do siebie i swoich rządów. Koła demokratyczne stoją wobec tego poniekąd zakłopotane. Rząd wiedział gdzie i jak nas za serce chwycić....

Nazajutrz po wyjeździe cesarza rozpoczął obrady Sejm galicyjski. Zamierzałem obszerniej wam donieść o jego zadaniach, lecz ta manifestacya przeszkodziła temu. Za to za tydzień doniosę wam obszerniej o *pracach* Sejmu.

Krakowianin.

Z TYGODNIA.

Położenie na *półwyspie bałkańskim* zbliża się do *wielkiej katastrofy*, która wstrząsnąć może *całą Europę* i zamącić jej spokój na długi przeciąg czasu.

jeżeli wogóle nie będzie początkiem wielkiego jakiego przewrotu. Stosunki między *Bułgaryą a Turcyą* naprężyły się tak, że każdej chwili obawiać się trzeba wypowiedzenia wojny z jednej lub drugiej strony. *W Bułgaryi* prąd wojenny ogarnął już cały naród. Nawet w rozważniejszych kołach przeważa już przekonanie, że wojna byłaby dla Bułgaryi mniejszem złem, niż obecna bezczynność wobec wypadków w Macedonii. Wypadki te zalały Bułgaryą zdesperowanemi żywiołami, które już nie mają nic do stracenia, a których utrzymanie przekracza finansowe i ekonomiczne siły niezbyt zamożnego tego kraju. Żywioły te wnoszą nadto do jego ustroju i ludności dziką anarchię. Pragnąc zmusić rząd do zbrojnego ujęcia się za walczącymi o swą wolność braćmi w Macedonii, grożą one nawet zamachami na życie księcia Ferdynanda. Książę wróciwszy z zagranicy nie miał odwagi udać się do swej stolicy. Przebywa obecnie w Euksynogrodzie, zamku swym nad morzem Czarnem, a i tam otaczać się musi potrójnym kordonem wojska i policyi. Dotychczas waha się jeszcze, obawia się gniewu mocarstw, które surowo przestrzegają go przed krokami wojennemi, obawia się ogromnej odpowiedzialności, jaką przez wypowiedzenie wojny Turcyi wziąłby na swe barki, ale długo tej srogiej ostateczności nie będzie się już mógł opierać. Jeźli nie spełni woli ani chwili nie będzie pewien swego życia. Z drugiej znów strony wzmaga się i w Turcyi usposobienie wojenne. Nawet już rządzące sfery nabrały tam przekonania, że nie zduszą powstania, dopóki nie pokonają Bułgaryi, dopóki powstańcy o to państwo opierać się będą i ztamtąd ciągnąć coraz nowe środki i siły do walki. Obok tego budzi się także *fanatyzm mahometan* względem chrześcijan.

Z Arabii nadeszła wieść, że prorok Mahomet z grobu powstał i wezwał Allaha na pomoc „wiernym" swoim przeciwko „giaurom." Legenda ta rozszerzana skwapliwie przez *ulemów* tureckich znalazła wiarę u ciemnych tłumów. Coraz częściej zachodzą starcia między ludnością chrześcijańską a turecką także po za wilajetami, objętemi płomieniem powstania, do bardzo groźnego starcia takiego przyszło mianowicie w *Beyrucie* w Syryi; coraz częściej nadchodzą wieści o rzeziach, jakich się dopuszczają Turcy w Macedonii i w Rumelii na ludności chrześcijańskiej. Tuż nad granicą bułgarską ścięło wojsko tureckie w jednym dniu 220 Bułgarów w oczach ich rodzin. Wieści o tem wznieciły nowe ogromne oburzenie w Bułgaryi. Zbierają się więc chmury z jednej i z drugiej strony i tylko patrzyć, rychło z tych chmur uderzą krwawe gromy.

A potem? No potem przyjdzie do zaciętej, okrutnej walki, w której losy ważyć się będą długo, bo księstwo Bułgarskie ze swoją doskonałą stotysięczną armią nie da się tak łatwo pokonać, jak ongi zdezorganizowana Grecya. A potem Europa zniewolona będzie wkroczyć, rozpoczną się waśnie, spory i podejrzenia wzajemne między mocarstwami. A potem? — no lepiej nie stawiać horoskopów, nie odgadywać przyszłości, bo może być dla wszystkich ciężką i srogą.

Będzie o tem mowa zapewne w tych dniach, podczas pobytu cesarza *Wilhelma w Wiedniu,* dokąd przybędzie dnia 17-go b. m. Już sam fakt, że towarzyszy mu tamdotąd kanclerz hr. Bülow dowodzi, że podróż ta ma wybitne *polityczne* znaczenie. A po cesarzu *Wilhelmie* zawita nad Modry Dunaj car rosyjski. Uderza ta okoliczność, że tak pokierowano sprawą, aby Wilhelm II. i car Mikołaj nie spotkali się w Wiedniu. Zdaje się to potwierdzać ogólne mniemanie, że co do wypadków na wschodzie tureckim polityka *Niemiec* nie zgadza się z polityką *Rosyi*. Cesarz Wilhelm już od niedzieli bawi na Węgrzech w pobliżu *Mohaczu,* gdzie polował w lasach jednego z arcyksiążąt austryackich. Gdy atoli używano tam przyjemności łowieckich, nadeszła wiadomość od rządu włoskiego, że do okolicy Mohaczu wybrało się *trzech znanych anarchistów* włoskich oraz dwóch hołdujących anarchizmowi studentów. W jakim celu — nie trudno się domyśleć. Rząd węgierski wzmocnił natychmiast straż bezpieczeństwa w tych stronach o 200 ludzi; do chwili, w której to piszemy, nie ma jeszcze doniesienia czy niebezpiecznych tych „podróżnych" ujęto. Widzimy na tym przykładzie, że monarchowie nawet w lasach i puszczach nie są bezpieczni.

W jednym z poprzednich przeglądów naszych wyraziliśmy obawę, że pobyt cesarza Wilhelma II. w Wiedniu może się odbić także na *naszych interesach narodowych.* Po pobycie cesarza *Franciszka Józefa we Lwowie,* obawa ta częściowo się rozwiała; Austrya dziś zanadto potrzebuje Polaków, iżby dla pięknych oczu Prus i Niemiec odważyła się na krępowanie ich swobód narodowych. Możliwem atoli jest, że Polacy galicyjscy znów przyłożyć będą zmuszeni rękę do polityki, wychodzącej ostatecznie na korzyść Niemiec. Smutne to dla nas, ale na razie nie mamy środków, aby ewentualności takiej zapobiedz.

Ogromne zwycięztwo, jakie odniosła *niemiecka socyalna demokracya* przy ostatnich wyborach, nie wyjdzie jej może na zdrowie. Powtarza się z nią to samo, co działo się już tylokrotnie z innemi partyami. Im bardziej się rozrastały, im bardziej wzmagały się w liczbę swych stronników, tem trudniej było utrzymać w nich zgodę i jednolitość wewnętrzną. Przyrost głosów, fakt, że socyalna demokracya stała się po centrum najsilniejszą partyą w parlamencie, wywołał w jej łonie rozmaite spory, najważniejszą z nich jest kwestya, czy socyalna demokracya ma zareklamować dla siebie godność *wiceprezesa parlamentu?* Jeźliby który z posłów socyalno - demokratycznych przyjął tę godność, zniewolony byłby poddać się rozmaitym, połączonym z nią obowiązkom, przedstawić się *cesarzowi,* ewentualnie nawet *wznieść okrzyk na cześć monarchy.* Przeciwko takim objawom „lojalności burżoazyjnej" buntują się serca starych rewolucyonistów w partyi. Tymczasem „młodzi," którzy hołdują raczej polityce reform socyalnych, a nie rewolucyi, pytają: dla czegoby socyalista i tych obowiązków nie miał spełnić? Czyż przez taką formalność przestałby być socyalistą?

Żądają oni też stanowczo, ażeby socyalna demokracya nie wyrzekała się praw swoich do drugiej wiceprezesury. Ściągnęło to na ich głowy gromy potępienia ze strony starego „lwa" Bebla. Lecz cóż się stało? Oto „Vorwärts", główny organ partyi, odmówił gościnności artykułom, napisanym w tej sprawie przez Bebla. Wywołało to ogromną sensacyą w całych Niemczech. Stronnictwo młodych musi snać być bardzo silne, jeźli śmie stawiać opór „papieżowi partyi". Spór rozstrzygnie się na odbywającym się obecnie *wiecu generalnym socyalnej demokracyi w Dreźnie,* który z tego powodu będzie bardzo burzliwy. Kto wie zaś, czy stronnictwo socyalno demokratyczne w Niemczech nie rozpadnie się tak, jak się rozpadło francuzkie, na *ugodowców i nieprzejednanych?*

Po zatem nie wiele nowego zaszło w polityce. I my nie wiemy jeszcze dokładnie, czem nam grozi nowa sesya *sejmu pruskiego?* Oby zastała nas silnych i pewnych siebie na wyłomie!

M. O.

Przegląd prasy.

Artykuł nasz: „Bez kandydatów" spotkał się niespodzianie z uznaniem

„*Dzien. Pozn.*“, który przedrukowawszy drugą część jego, wyznaje, że „zupełnie się w tym wypadku godzi z „Pracą“ i z tych samych przekonań walczył zawsze z hypokryzyą „Orędownika.“ Niejednokrotnie głosiliśmy o „Orędowniku“ takie zapatrywanie, jak w pomienionym artykule, a „Dzien. Pozn.“ nigdy nie zdradził się z tem, ale spozierał zawsze z ukosa na nas jako na „radykałów.“ Tymczasem teraz oddaje nam sprawiedliwość, przyznając, że „„Praca“ bądź co bądź nie należy do pism uprzedzonych, które zwalczają idee wedle źródła, z którego pochodzą.“ Gdyby „Dzien. Pozn.“ ze swej strony nie rządził się uprzedzeniem, nie potępiał w czambuł wszystkiego co wypływa z przeciwnego obozu i nie ubijał spraw pogardliwem wzruszeniem ramion i wykrzyknikami: radykali! wszechpolacy! — jak to robił n. p. z okazyi, wieców westfalskiego i ślązkiego — niejednokrotnie byłby w zgodzie z „Pracą“ i „radykałami“.

Przy tej sposobności dowiadujemy się, że „*Dzien. Pozn.*“ nie należy bynajmniej do tych, co się zachwycają polityką księdza Jażdzewskiego“, o czem dotąd nie wiedzieliśmy. Jednakowoż „*Dzien. Pozn.*“ sądzi, że przy braku kandydatów usuwać go byłoby „niebezpiecznem“. Czemu aż „niebezpiecznem“ — „Dzien.“ nie mówi. Po tem, co powiedzieliśmy o polityce księdza Jażdzewskiego, jest rzeczą jasną, że kto stoi na naszem stanowisku nie może *żadną miarą* patrzeć spokojnie na to, aby ks. J. kandydował do sejmu. Gdyby nawet partya ludowa nie miała równie zdolnego kandydata, musi stanowczo i niedwuznacznie wystąpić przeciwko ks. Jażdzewskiemu, jeżeli nie chce uchodzić za parafiańską klikę, jeżli działalność jej przyświeca idea. Szczególnie bowiem „niebezpiecznem“ dla sprawy ludowej i postępowej byłoby tolerowanie najkonserwatywniejszego z naszych konserwatystów, który temperamentowo jest wrogiem wszelkiego postępu, kryje w zanadrzu tendencye ugodowe i zawsze jeszcze każe się trzymać klamki centrum. Nie na to zresztą wysełamy posłów do Berlina, aby tam umizgali się do ministrów, aby tam wymyślali na ślązkich działaczy i prasę polską pospołu z — junkrami! Kto tak jak ks. J. występuje, nie może być posłem — *polskim!*

Na kwestyą kandydatur „Dzien.“ nie zapatruje się tak pesymistycznie, jak „Praca.“ Wyręczając ludowców w poszukiwaniu kandydatów, pisze:

„Trzeba tylko sięgnąć gdzie należy, a to mianowicie po *kandydatury włościańskie*, których moglibyśmy wymienić pod dostatkiem, gdybyśmy u zawziętych ludowców nie chcieli im zepsuć numeru przez to, że my ich wymieniamy. Zresztą każdemu wiadome są instancye, do których się udać należy po informacye co do charakteru i inteligencyi włościańskich kandydatów.

„Za takiemi kandydaturami przemawiamy najgoręcej, a jesteśmy przekonani, że ich głos *więcej zrobi wrażenia w sejmie, jak stereotypowo się powtarzające grawamina naszych najwytrawniejszych nawet parlamentaryuszy.*

„Sądzimy, że i „Praca“ zgodzi się na nasze zapatrywanie, bo bądź co bądź nie należy do pism uprzedzonych, które zwalczają idee wedle źródła, z którego pochodzą.“

Niewątpliwie godzimy się na kandydatury włościańskie.

O co „Dziennikowi“ chodzi, nie trudno odgadnąć. Widząc że nie wszystkie żywioły w obozie ludowców hołdują Orędownikowi, że szlachta postępowa nie myśli służyć mu do wyciągania kasztanów z ognia, lecz, tworząc część integralną ludowców, kierować sterem partyi — „Dzien.“ wyciąga gałązkę oliwną do niej. I tak stało się, że „Dzien.“ naraz gotów jest pogodzić się „z uczciwym kierunkiem demokratycznym i radykalnym.“

„Z uczciwym kierunkiem demokratycznym, nawet radykalnym czytamy w „Dzien.“ idzie dziś chętnie(?) cała szlachta i cała inteligencya, ale nigdy się nie odda na usługi apostołów nienawiści rodowej i społecznej, w której upatruje zbawienie „Orędownik“, a prawdziwą jego sylwetkę niedawno podała „Praca.“

„Kierownik „Orędownika“ wraz ze swą „żywiołową siłą“, tak się wzbił w pychę, że musi teraz nastąpić reakcya i upadek tych najzgubniejszych w naszem społeczeństwie wpływów.

„Oczy się dziś otworzyły uczciwej „szlachcie demokratycznej“, oby się otworzyły i zaślepionym ludowcom, którzy jeszcze przysięgają wyłącznie na sztandar „starszego przywódzcy“.

Praca przedwyborcza rozpoczyna się i tak czytamy w „*Dzienniku:*“

„Komitet wyborczy *śmigielski* uchwalił przedłożyć walnemu zebraniu wyborców powiatu śmigielskiego następujących kandydatów na posłów do sejmu:

„1. Franciszka Morawskiego, Zygmunta Chłapowskiego i dr. Krysiewicza.

2. Dr. Skarżyńskiego, ks. radzcę Mojzykiewicza i hr. Adama Żółtowskiego.

Okręg kościańsko-bukowski, do którego należy powiat śmigielski, wybiera dwóch posłów do sejmu.“

Wyborami do sejmu zajmuje się „*Goniec Wielkop.*“ i nawołuje do przygotowań. Prócz pięciu okręgów, które dotąd mają posłów Polaków, są *dwa*, w których mamy pewne szanse zwycięstwa. I tak:

„1) Okręg obejmujący obydwa powiaty poznańskie i powiat obornicki, który wybiera dwóch posłów, a w którym przepadliśmy kilkoma zaledwie głosami. Skutkiem przyłączenia przedmieść poznańskich w których przeważnie niemieckie głosy padły, do zupełnie niepewnego Poznania, ukształtowały się stosunki dość dla nas korzystnie i przy dobrej agitacyi okręg ten może do nas należeć.

„Drugim takim okręgiem jest okręg wągrowiecko-mogilnicki, wybierający także dwóch posłów. Większość niemiecka, głównie dzięki gospodarce kolonizacyi wyrwała nam ten okręg 20—30 głosami większości, kto wie jednak, czy przy usilnych staraniach i dobrej agitacyi okręgu tego nie zdobędziemy.“

Rejencya bydgoska dąży do usunięcia duchowieństwa przy poświęcaniu szkół. Wydała bowiem okólnik do inspektorów szkolnych ze znaczącem zapytaniem

„1) czy i w jaki sposób brali udział duchowni katoliccy, jako tacy, niezależnie od udziału w charakterze inspektorów szkolnych, przy poświęcaniu szkół i czy jeszcze biorą udział w takich uroczystościach;

„2) czy z tego wynikły trudności i to jakie mianowicie z powodu żądania księży używania języka polskiego;

„3) czy dla uniknienia nadal podobnych trudności przy owych uroczystościach *nie zaleca się zrezygnować z udziału księży*, o ile nie są inspektorami szkolnymi.

„„*Pos. Tageblatt*“ dodaje, że owo zapytanie stało się koniecznem z powodu rzekomo pożałowania godnych zajść ostatnich czasów, w czasie których katoliccy duchowni obrażali uczucia patryotyczno-niemieckie. —

„*Wielkopolanin*“ zauważa:

„Gdybyśmy nie czytali tego doniesienia w „Pos. Tagebl.“, gdyby nam nie były znane podobne nakazy i próby oddawania duchownych katolickich pod nadzór świeckich władz, nie dalibyśmy temu wiary. Uważamy to orędzie rejencyi bydgoskiej za niesłychane. Jak to więc duchowni nasi mają stać pod kontrolą urzędów świeckich — na jakiej podstawie? Oprócz tego zadziwiającem jest, że rejencya bydgoska wzywa urzędy do donosów. Wiadomo jak się ocenia w całym świecie donosicieli.

„Jesteśmy przekonani — kończy „Wielk.“ — że *nasza najwyższa władza duchowna zaprotestuje jak najenergiczniej przeciw takiej kontroli.*“

Z okólnika powyższego wynika — pisze „*Dzien. Pozn.*“ że regencya bydgoska nawet przy „poświęcaniu“ szkół katolickich, zamierz

duchownych katolickich usunąć, by nie siać przez ich usta „polskiego zgorszenia“ i „poświęcenie“ szkół tych zleci zapewne w najbliższym czasie albo ewangelickim pastorom, albo samym powiatowym inspektorom szkolnym, o których pewną jest, że „szowinizmu i agitacyi polskiej“ podniecać nie będą. Katolicka szkoła dla katolickiego duchownego nawet przy takich sposobnościach ma być zamkniętą.“

Pomimo, że *banki polskie i kasy oszczędności*, odznaczając się ogromną aż za wielką może ostrożnością, dają najzupełniejszą rękojmię, zawsze jeszcze tylu a tylu Polaków składa swe oszczędności w niemieckich kasach.

Podobno około *sto milionów marek* polskiego grosza znajduje się w pruskich kasach oszczędności, jak stwierdziła „Gaz. Toruńska.“

Wydawany przez kapitalistów w duchu konserwatywnym *„Oberschlesischer Arbeiterfreund“* każe się cieszyć ludności polskiej, że pod Prusakiem tyle zrobiła oszczędności i być jej wdzięcznym.

Na to *„Katolik“* odpowiada:

„Niechaj „Arbeiterfreund“ pracodawców sobie przedewszystkiem przypomni, ile milionów co rok jego żywiciele, niemieccy pracodawcy, wywożą z Górnego Śląska. Co rok wydobywają skarby z naszej ziemi ojczystej i wyrabiają z nich towary, razem za jakie 500 milionów marek wartości, z czego co najmniej co rok 100 milionów czystego zysku mają.

„Kilkunastu pracodawców niemieckich co rok po 100 milionów — a 150 tysięcy robotników polskich za długie lata wszyscy razem 100 milionów! Tam łatwy zysk kapitalistów niemieckich — tu ciężko zapracowany grosz robotników polskich. Niemieccy pracodawcy każą robotnikom polskim wydobywać za marną nieraz zapłatę z narażeniem zdrowia i życia skarby z ziemi polskiej! Niejeden z nich gnębi wolność robotników, jak tylko może, nie pozwala na wynajęcie np. sali na zebranie polityczne, dla towarzystw, na zebrania robotnicze, dla organizacyi robotniczej, nawet dla banków i spółek nie ma sali. Niejeden wyrzuca robotnika z pracy, skoroby należał do organizacyi, do towarzystwa polskiego itd.

„I za to każe nam „Arbeiterfreund“ być wdzięcznymi! Za co? Za dobre zarobki?

„Robotnik polski za swoją szczerą pracę u każdego otrzyma zarobek, u Francuza, u Anglika, w Ameryce, a otrzyma u tych może jeszcze więcej, ponieważ tamci panowie nie płacą według politycznego lub religijnego przekonania mniej albo więcej.“

„Dzien. Berl.“ w artykule: „Zapomniani Polacy“ zwraca uwagę na Polaków ewangelików w powiatach odolanowskim ostrzeszowskim i kępińskim, których *liczba cofa się w przerażający sposób*.

Według obliczeń, poczynionych na podstawie spisu ludności z r. 1890 było polskich protestantów w tych trzech powiatach razem *9653* i to w powiecie odolanowskim 4081, ostrzeszowskim 4464 i w kępińskim 1350.

Rezultaty z ostatniego spisu ludności z dnia 1 grudnia 1900 r., uwzględniającego język ojczysty ludności, ogłoszone zostały w obrobieniu cesarskiego urzędu statystycznego krótko przed tegorocznemi wyborami parlamentarnemi.

W podjętych przez nas pracach statystycznych, opartych na tej ważnej publikacyi urzędowej, które kolejno będziemy ogłaszali, zabraliśmy się także do stwierdzienia liczby polskich protestantów w Księstwie na podstawie ostatniego spisu ludności i doszliśmy po ścisłych obliczeniach do następującego *smutnego rezultatu*.

“Oto liczba polskich protestantów w powiatach odolanowskim, ostrzeszowskim i kępińskim wynosi *5979*, i to w powiecie odolanowskim 2562 (w r. 1890 : 4081), ostrzeszowskim 3290 (1890 : 4464), w kępińskim 127 (1890 : 1350).

„Mamy tedy do zapisania w ciągu 10 lat ubytek poważny polskich protestantów w liczbie 3674 dusz.

„Tak to w czasach naszego społeczeństwa, w rdzennie polskich powiatach Księstwa, *pod okiem naszych władz wyborczych giną społeczeństwu polskiemu tysiące dusz polskich, dla tego że się polskimi ewangelikami mało kto u nas zajmuje!*“

Nie tak czarno przedstawiają się rzeczy w świetle „statystycznej korespondencyi.“ Według tego źródła przy ostatnim spisie ludności liczba Polaków ewagielików wyniosła 10386 głów, i to w powiecie odolanowskim 4140, w ostrzszowskim 4420, w kępińskim 1826.

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Inowrocław, dn. 26-go sierpnia 1903.

Gdy w dniu 11-go lipca r. b. tutejszy „Hotel Basta“ przeszedł w terminie subhastacyjnym w ręce nowo powstałego konsorcyum, składającego się z panów Ponińskiego z Kościelca, Walżyka z Kruświcy i Grabskiego ztąd, radość przejęła serca całej polonii miejscowej i okolicznej. Nawet najbiedniejsi akcyonaryusze pocieszali się po utracie swych kilkuset marek myślą, że hotel pozostał polskim, że mamy nadal przytulisko dla naszych zebrań, naszych obrad i zabaw.

Administracya hotelu w ręku pana Kollata nie zostawiała nic do życzenia, a nadto nowi nabywcy przyrzekli mu dać pierwszeństwo w przyszłem zadzierżawieniu hotelu. Lecz laury sprzedawczyków wiejskich nie dały widocznie spokoju nowym właścicielom hotelu, gdyż nagle 13-go b. m. wypowiedziano panu K. miejsce i wezwano go do złożenia rachunków do dnia 15-go b. m. motywując to „interesem hotelu“.

I ku oburzeniu i zdumieniu wszystkich uczciwych Polaków wprowadzono doń Niemca, podobno byłego nadkelnera poznańskiego, nie umiejącego *ani słówka* po polsku, i powierzono mu losy *instytucyi, zronionej potem i łzami naszych biednych, uczciwych rzemieślników, kupców i szlachetnie myślących obywateli.*

Nowy ten kierownik hotelu łgał póki mógł, że jest dzierżawcą, lecz dziś wiedzą już wszyscy, że to kłamstwo wierutne, i że jest on zaangażowany za piękną stałą pensyą 3000 marek przy kompletnie wolnem utrzymaniu, to znaczy tyle, co przynajmniej 5000 marek.

Postępek taki w dzisiejszych stósunkach nie da się nawet należycie napiętnować! Więc nie dość tym pseudo-Polakom na tem, że nas Niemcy rugują z kawałka chleba, gdzie im to tylko możliwem, że setki biednych polskich rodzin zostaje wyrzucanych ze stanowisk swych po sprzedanych majątkach; oni przekleństwo to przenoszą i na miasto i lokują Niemców najniższej kategoryi na polskim chlebie. Wstyd to i hańba! Jeżeli uroili sobie, że skaptują w ten sposób dla hotelu klientelę niemiecką, to naprzód im oświadczyć muszę, że grubo się omylili. Na lep ten Niemcy nie pójdą. Konsorcyum z całą pewnością oświadczyć możemy, że uczciwa polska publiczność odczuje krzywdę jej wyrządzoną i hotelu odtąd zasadniczo unikać będzie. Zostanie im chyba kilku żydków i moralnie upadłych karciarzy ,których im szczerze życzymy! *Kujawiak.*

Wiec

ekonomiczno-społeczny

odbędzie się w *niedzielę 20-go września* w południe o godz. *12-tej na sali Bazarowej.*

Porządek dzienny:

1) Zagajenie. 2) Ukonstytuowanie biura. 3) Związki zawodowe. 4) Stanowisko związku polskiego. 5) Dyskusya. 6) Zamknięcie.

O jak najliczniejszy udział proszą podpisani:

Adamski St., Biedermann M., Goździewicz J., Ignatowicz K., Jankowski A., Jezierski A., Kaniasty M., Krause Teodor, Kraszewski I., Kwapisz W., Łubiński, Łuczyński Fr., Małolepszy Józef, Małolepszy Franciszek, Milski B. Dr. Niegolewski. Nowicki St. Dr. Rydlewski Celestyn. Dr. Smoliński. Dr. Szymański Roman. Wierzbiński Maciej,



Pogrzeb chrześcianki w katakumbach rzymskich.

ALBUM „PRACY" DRUKIEM „PRACY".

Dział illustrowany.

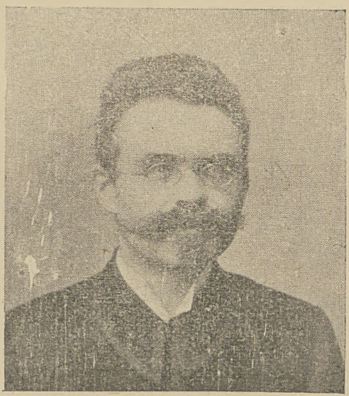
Album posłów polskich w parlamencie niemieckim.

XIV.

Poseł Wiktor Kulerski.

Imię jego głośne, gdziekolwiek lud polski u nas czyta słowo polskie. Jako wydawca „Gazety Grudziądzkiej‘‘ zdobył sobie bowiem tę nieocenioną zasługę, że tysiące ludu polskiego przyzwyczaił do czytania pism polskich.

Urodził się jako syn nauczyciela ludowego w Grucie pod Grudziądzem



Poseł Wiktor Kulerski.

dnia 20-go marca 1864-go roku, i pierwotnie sam poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Zostawszy nauczycielem w Copotach, nabył tam pensyonat „Dom polski,‘‘ i dzięki powodzeniu materyalnemu założył w r. 1895 „Gazetę Grudziądzką.‘‘

Posiadał ten człowiek niezawodnie ogromną znajomość ludu polskiego i jego potrzeb, skoro założone pismo zjednywało sobie coraz więcej czytelników, aż liczba ich wzrosła do 40.000.

Wybrany został jako kandydat samozwańczy. Zachodnio pruski komitet wyborczy popełnił bowiem ten wielki nietakt, że pomimo wielkich zasług, jakie Kulerski położył przy pierwszych wyborach, nie postawił go jako kandydata przy wyborach uzupełniających w obwodzie chojnicko-tucholskim.

Postawiono tam człowieka niepospolitych zasług społecznych, pana Sikorskiego, — pomimo, że na wiecach obrano kandydatem Kulerskiego. — I Kulerski przeszedł, okazując potęgę, jaką posiada nad ludem. — Nie można zapominać, że samozwańcze wystąpienie jego było złamaniem solidarności, — ale w tych wyjątkowych warunkach nie można mu było nie przyklasnąć.

* * *

XV.

Poseł Jan Brejski.

Jak poprzedni jest wydawcą i redaktorem, — jednakże nie dorasta mu ani co do zasług, ani jako indywidualność.



Poseł Jan Brejski.

— Urodził się dnia 20-go lutego w roku 1863. Redagował „Wiarusa polskiego‘‘ w Bochum, obecnie wydaje „Gazetę Toruńską.‘‘

* * *

XVI.

Poseł Wojciech Korfanty,

najmłodszy poseł polski. Urodził się dnia 20-go kwietnia 1873 r. na Górnym Slązku. — Odbywał kursa gimnazyalne w Katowicach, gdzie go krótko przed ukończeniem wydalono z gimnazyum dla jakiegoś patryotycznego zajścia. — Udał się do Berlina, gdzie słuchał ekonomii politycznej, potem przeniósł się do Wrocławia. — Następnie był nauczycielem domowym, jakiś czas pracował też jako prosty górnik. W r. 1901 przypadkiem spotkał się z wydawcą „Pracy‘‘, p. Marcinem Biedermannem. Tenże przyjął go do redakcyi „Pracy,‘‘ — krótko potem założył p. Biedermann „Górnoślązaka‘‘ w Katowicach, a redakcyą powierzył



Poseł Wojciech Korfanty.

p. Korfantemu. Korfantego skazano wtedy na kilka miesięcy więzienia za artykuł, drukowany w „Pracy,‘‘ i w czasie, kiedy odbywał karę więzienną, zawiązana spółka w Katowicach nabyła od pana Biedermanna „Górnoślązaka.‘‘ Po odbyciu kary objął redakcyą tegoż pisma, na czele której do dzisiaj stoi.

Charakter to jeszcze bardzo niewyrobiony. Przy normalnym rozwoju byłby dzięki wrodzonym zdolnościom i dużej ambicyi wyrobił się na użytecznego członka społeczeństwa. Niestety poznańscy i zapoznańscy mistycy polityczni otoczyli go kultem, który młody charakter spaczył. Miejmy nadzieję, że w ogniu politycznej walki i ten kruszec nabędzie hartu stali i wyzbędzie się przymieszek, niegodnych rycerskiego metalu. —

Listy z nad jezior mazurskich.

I.

(Mazury — terra incognita. — Plan podróży. — W drodze do Szczytna. — Pierwszy etap. — „Ein echter Pollak.“ — Ciemności!)

Krainę jezior mazurskich powleka pewien urok tajemniczości.

Zbliża się ona do wschodu Prus Zachodnich, podpasuje Warmię i ciągnie się długim szlakiem wzdłuż całej północnej granicy Królestwa Polskiego, liczne linie kolejowe łączą nas z pruskiem Mazowszem, a bogata literatura niemiecka i polska informuje o niem, ale dla nas, zwykłych szukać wrażeń turystowskich daleko, by swego nie znając „obce wychwalać“ — to terra incognita. Zda się być gdzieś, po za światem, tak daleko leży po za sferą naszych spraw i — myśli.

Zasklepieni w kole najbliższych interesów wykreśliliśmy z pamięci ten szmat pięknej polskiej ziemi, za który książę pruski dziękował królowi polskiemu na klęczkach, i zapomnieli o tych braciach naszych z krwi i kości, co ongi, trzysta lat temu skolonizowali wyludnione przyjezierze mazurskie, uprzystępnili je siekierą i pługiem dla kultury, a dzisiaj grzęzną w germanizmie, odcięci od pnia ojczystego, wydani na łaskę... pruską.

Stroniąc od pruskiego Mazowsza możemy jako jedyną łagodzącą okoliczność przytoczyć chyba to, że nie znajdujemy znikąd zachęty do zwiedzania tych stron. Za granicę utorowano nam drogi, w polskie zaś okolice sami musimy szukać ścieżek. Podczas gdy n. p. w Wrocławiu istnieje niemieckie towarzystwo podróżnicze a la Stangen, czy Cook, organizujące gremialne wycieczki w Tatry, u nas, przy braku przedsiębiorczości, nie powstało dotąd biuro, które ułatwiając podróżowanie stanowiło-by silną podnietę do poznania ojczystego kraju. Ale podobno przejmujemy różne rzeczy od obcych, więc być może, że z czasem poczną zaludniać się grupami turystów polskich nietylko Kraków, dolina Kościeliska i Czarnohora, ale także ta przedziwnie zielona kraina lasów i jezior, która zwabia tylu a tylu letników z Prusiech.

Zanim to nastąpi, mogę zapewnić, że Mazury nie leżą wcale za światem!

W cztery godziny pociąg kuryerski przenosi nas z Poznania do Olsztyna, a w godzinę i kwadrans do Szczytna, gdzie postanowiłem zrobić pierwszy etap, gdyż z naszego punktu widzenia poczytać je trzeba za serce Mazurów.

Jeszcze w połowie zeszłego stulecia miejscowością, wkoło której skupiał się żywioł polski, było miasteczko Lec (Loetzen), lecz lawina germanizacyjna idąc z północy na południe zepchnęła punkt ciężkości do Ełku (Lyck). Ponieważ wschodni bok powiatu łeckiego, a więc okolice Gołdapu, uległy zniemczeniu, Szczytno znalazło się w pośrodku długiego pasu, w którym żywioł polski, przypierany do słupów granicznych, broni się odruchowo przed naporem teutońskiej nawałnicy.

Ze Szczytna (Ortelsburg) uplanowałem wyjechać do Ruczan (Rudczanny), osady leżącej w głębi lasów, na linii kolejowej do Ełku i nad jeziorem Dolnem (Nieder-see). Stąd kursują parostatki na jezioro Gruszankę (Gruszanka - see) i cały kompleks wód. Dwie wycieczki miałem szczególnie w planie: do starożytnego klasztorka i kolonii starowierów ruskich nad jeziorem Dus, drugą zaś do powiatowego miasteczka Żądzborka (Sensburg), którego okolice tworzą z powiatem szczycieńskim jeden, czysto mazurski okręg wyborczy.

Na wschód od Ruczan ciągnie się t. z. puszcza jandzborska — ogromny, nieprzebrany szmat lasów sosnowych, których uroczystą ciszę zakłóca świst lokomotywy. Prawdziwy miłośnik lesistych ustroni przebywa na kołach bitym gościńcem to bezludne królestwo sarn. Mniej chciwy wrażeń turysta zadowoli się wycieczką z Ruczan.

Ełk, największy i najpiękniejszy z miasteczek mazurskich, zaleca się jako trzeci etap, tem więcej, że we wszystkich kierunkach mamy stąd dogodną komunikacyę, ponieważ tu krzyżują się dwie linie kolejowe: Królewiec — Warszawa i Olsztyn — Insterburg.

Na każdym kroku uśmiecha się do nas toń wód, w Ruczanach i Ełku mamy przedsmak wielkich jezior mazurskich. Z Ełku więc przewozimy podróżny bagaż do Lec, skąd kilka razy tygodniowo kursują parowczyki po całym kanałami w jedną całość spojonym obszarze jezior. I tak statek przepływa południowe wody docierając przez Mikołajki, zwane mazurską Wenecyą, i jezioro Śniardowe (Spinding-see) do Ruczan, a drugą, szczególnie uroczą podróż robi na północ, przez wody jeziora Niewolińskiego (Maurer-see) do Węgoborka (Angerburg) starodawnej osady rybackiej, która jest dzisiaj najwięcej na północ wysuniętym posterunkiem polskości.

Z Lec — ku domowi. Przez zniemczony Rassenburg dostajemy się do stacyjki Rothflies, gdzie wsiadamy w pociąg toruński. Wracając drogą do Poznania, zatrzymałem się w Olsztynie i wrażenie mazurskie uzupełniłem w malowniczej Ostródzie.

Za powyższym planem podróży przemawia to, że kładziemy w nim nacisk na południowe, najwięcej polskie okolice Mazowsza a nie pomijamy żadnej ważniejszej miejscowości, żadnego malowniczego widoku.*)

Kto pragnąłby zbadać ściśle kraj mazurski ze społecznego i innego punktu widzenia, winien zatrzymać się najpierw w Ostródzie, (Osterode), miejscowości niegdyś ważnej dla umysłowego życia Mazurów, i, zwiedziwszy pobliskie pole bitwy grunwaldzkiej, ruszyć do Nibarku (Neidenburg), rdzennie mazurskiego powiatu, i stąd do Szczytna. Podróżując zaś w celach archeologicznych należałoby zwiedzić szczegółowo południowe brzegi Śniardwy, bogate w przedchrześcijańskie mogiły, z których jednę widziałem w przelocie pod Pieczyskami (Peitschendorf), w okolicy Ruczan. W pobliżu wielkiej grupy jezior czeka ludoznawcę bogaty plon w baśniach i klechtach, jeźli zdoła otworzyć usta nieufnemu Mazurowi. Wreszcie lingwista podzieli tę ziemię na dwie części i stwierdzi różnice zachodzące pomiędzy gwarą mazurską na wschód i na zachód od puszczy jandzborskiej i jezior i być może dotrze z Ełku do Gołdapu, gdzie lud polski styka się z litewskim.

Zakreśliwszy sobie powyżej naszkicowany plan podróży, wsiadłem w pociąg w Olsztynie pod wieczór dnia sierpniowego.

Słońce skłania się ku zachodowi. Pociąg, pobrzękując dzwonkiem niby bydło w górach, toczy się leniwie na jednotorowej linii. Z okna wagonu widnieją odmiany krajobrazu, znanego z Prus Zachodnich — teren falisty, popielate, dobrze uprawione ziemie, zżęte pola. Bujne kobierce koniczyny czerwienią się w pożegnalnych smugach słońca, pagórki leśne przesuwają się przed oczyma a z po za nich łyska raz po raz tafla jezior, by ukryć się za osypiskiem lub nowym szmatem zieleni i ciemną grupą drzew.

Gdzieś pomiędzy Olsztynem a Pasymem (Passenheim), ongi obróconym w perzynę przez Tatarów, mijamy granicę pomiędzy ludnością pols-

---

*) Po szczególne wskazówki muszę odesłać podróżnika do niemieckiego przewodnika: Masuren. Ein Wegweiser durch das Seengebiet und seine Nachbarschaft von Anton Hensel, — Königsberg.

ko-katolicką a polsko-luterską, pomiędzy Warmią a Mazurami.

Teren wygładza się i rozciąga się przed nami kraj, podobny do wielkopolskiego, lecz więcej zadrzewiony. Tymczasem zmrok zasnuwa pejsaż, szarawa płaszczyzna przyobleka się w cienie nocy i smętek wieczoru unosi się w przestrzeni.

Nagle znowu sina płyta jeziora ukazuje się z za wzgórza, plamki świateł znaczą się na niej zygzakowato. Wszystko znika. Sznur domów przesuwa się przed oknami. Stajemy.

— Ortelsburg! — woła konduktor.

Dworzec o spadzistym szczycie mile odróżnia się swojskim charakterem od stereotypowych, czerwonych dworców kolejowych w stylu — koszarowym. Zwyczajem małomiasteczkowym snują się przed nim Niemeczki, dla których przybycie pociągu stanowi ogromną dywersyę w jednostajnym, sennym trybie życia. Dwie poważniejsze jejmoście, rozpostarłszy na ławce swe perkale, robią pończochy i strzelają wzrokiem tajnych policyantów na przybyszów. Z budynku wybiega chłopiec z — piwem.

Wszystko to — niemieckie, ale jednak zaraz na wstępie wita mnie język polski.

Woźnica hotelowy, mozoląc się z niesfornym rowerem, który wypada mu umieścić na wierzchu omnibusu, mruczy coś pod wąsem, aż wyrzuca nieśmiertelne, wszechpolskie:

— Psia krew....

Raźniej mi na sercu; jestem na polskiej ziemi. A jeźli Mazur kląć jeszcze umie....

W tem chmara chłopaków bosych poczyna naigrawać się wrzaskliwie z woźnicy, wokoło rozbrzmiewa polska mowa, której wylewom kładzie kres dopiero świst bata.

W hotelu przyjmuje mnie otyły syn Germanii i Gambrinusa i wygadana pokojówka z niedbale upalonemi włosami. Oczywiście — Mazurka, równie niedbale wyemancypowana ze skorupy wiejskiej. Pochodzenie jej zdradza ogorzelizna chłopska na licach, jakiś zupełnie nie — niemiecki wyraz twarzy, żywe ruchy.

— Sind Sie aus Ortelsburg? — pytam.

— Nein, ich bin — vom Lande — odpowiada, rozpakowując walizkę.

Nie chce przez to powiedzieć, że trzeba ją poczytywać za „Unschuld vom Lande.“ Zuchowate wzięcie i trochę za śmiałe, ciemne oczy mówią co innego. Zresztą zda się, że nie tyle ząb czasu, ile kultura miejska uszczknęła dużo z jej urody. Posługuje się ogólnikowem określeniem zapewne dlatego, by nie razić uszu pruskich brzmieniem niemiłych słów.

— Also Masurin? — rzucam jednak.

— Ja, ich bin *ein echter Polak* — wyznaje.

Ów echter Polak nazywa się Lotchen Piotrowski i nie przystaje na najdrobniejszą zmianę nazwiska. Jednakowoż z głębi wspomnień wydobywa zeznanie, że pastor nazywał ją: Piotrowska, lecz przy konfirmacyi „napisano ją Piotrowski“ i przy tem zostało.

Panna Lotchen poznaje, że nie jestem ze „Scytna,“ ale abym był Polakiem — stanowczo nie wierzy. Widziała raz w życiu ruskiego oficera, lecz nigdy pana polskiego. Bo pan — Polak nie istnieje wcale; Polak to w jej pojęciu synonim chłopa. Nie wypada też, aby szanująca się osoba rozmawiała z panem po polsku; uchodziła-by we



Krzysztof Ossoliński.

własnych oczach za pospolitą, nieokrzesaną istotę, a ludzie śmiali-by się i wydziwiali. Wszelkie zaręczenia, żem Polak, nic nie pomagają i zostawiam pannę Lotchen w tem mniemaniu, że mówię po polsku tylko „dla zabawy.“ Wszelako promyk zastanowienia zakrada się do jej mózgu. Kto wie, może jednak istnieją gdzie na świecie polscy panowie, chociaż to wątpliwe. Jeżeli istnieją, nie mogą wszakże równać się z niemieckimi, bo nieodzownym atrybutem pańskości jest niemieckość......

Poczyniwszy te psychologiczne odkrycia ,pytam się czy tak jak Lotchen myśli na Mazurach każdy „echter Polak.“

Niebawem spotykam ją na schodach, czytającą pod lampą śpiewniczek polski. Głoski łacińskie, więc nie sporo idzie z czytaniem, ale czyta, bo wierszyki zabawiają ją niezmiernie, aż oko łyska weselnie jakby dolatywały ją dźwięki skocznej muzyki.

Tymczasem wokoło cisza.

Dziewiąta. W murach hotelowych panuje pokój, miasto śpi, nurza się w ciemnicy nocnej. W zadrzewionej ulicy tylko zrzadka migocą nikłe światełka latarni, by świadczyć o istnieniu światła — gdzieindziej.

Ciemność! Wielkie to słowo i znamie pruskiego systemu, jakim naród kultury i miłości Bożej posługuje się w tych i innych stronach. Na niem spoczywa tu cała rządowa machina, na niem opiera się panowanie następców krzyżackich nad ludem mazurskim. Niczego nie obawia się tutejszy Prusak więcej dla swych „wiernych“ (czytaj: biernych) Mazurów od strumienia światła nieprzepuszczonego przez filtr pruskiego systemu. Sam widok człowieka, mieniącego się w biały dzień Polakiem, rozbudza w umyśle hakatyzmem dotkniętym chorobliwe, straszne obrazy kos i rogatywek i sprawia u synów powiększonej ojczyzny, co nie boją się nikogo prócz Boga, drzenie łydek, jakie obecność bogów wzbudzała u starożytnych Greków.

I tak spoczywa lud mazurski pod ciężkim kirem ciemności.

Roman Rola.

Krzysztof Ossoliński.

Krzysztof Ossoliński, wojewoda sandomierski, pochodził z starodawnego historycznego rodu polskiego, herbu Topór, pierwotnie osiadłego w Sandomierskiem, później na Podlasiu. Protoplastą tego rodu był *Jaśko* czyli *Jan*, syn Nawoja z Przegini, kasztelana krakowskiego, zmarłego 1325 r., który od założonej przez siebie majętności Ossolin, przybrał nazwisko i dał początek domowi Ossolińskich.

Krzysztof Ossoliński, syn Zbigniewa Ossolińskiego, urodził się 1587 r. w Bukowsku, nauki początkowe pobierał u Jezuitów w Lublinie, wyższe w Würzburgu i Gracu, poczem zwiedzał obce dwory we Włoszech i Francyi. Wróciwszy do kraju 1612 r., wysłany został przez ojca na Podole ze znacznym pocztem ludzi, własnym kosztem uzbrojonych. Posłował na kilku sejmach, a z sejmu 1620 r. wyznaczony był do rady wojennej podczas wojny tureckiej, na którą własnym kosztem wystawił znaczny oddział ludzi. W czasie wojny szwedzkiej opatrywał wojsko żywnością z oszczędzeniem skarbu i bez obciążenia obywateli. Za takie usługi prędko postępował w urzędach

publicznych: w r. 1619 podstoli sandomierski, 1620 podkomorzy tegoż województwa, 1633 kasztelan sandecki, 16‥5 wojnicki, a 1638 już był wojewodą sandomierskim. Wystawił zamek Krzysztofory, na który do 30 milionów wydał, nie żałując także grosza i na fundacye pobożne; umarł 1645 w Krakowie. Miłośnik nauk i chętny opiekun młodzieży, garnącej się do nich, sam przełożył na język polski Barklaja „Argenidę“ (Kraków, 1707).

—ski.

Przed jesienią.

Hej! Z wieścią idę, że wiśniowe sady
We mgłach, milczące—otwórzcie komnaty,
Puśćcie; a otom ja jest z trwogi blady,
W zanadrzu niosę wam umarłe kwiaty;
Weźmij je niby kwietne całowanie
Z ust moich — smutne od sadów posłanie.

Szumi a szumi sad i w mgły się stroi
I o skonaniu wszem naokół prawi;
Otoć wysypię kwiecie u podwoi —
Hej! Łza na kwiecie padła,
Serce krwawi.
Wiosenna mara między nas się ciśnie,
W komnatę wchodzi...
Woń cudna się kładzie
Na dusze smutne!
Bujasz o duszo hen w wiśniowym sadzie;
Hej! Jako pachną wiśnie,
Niby królewskie w kadzielnicy ziele,
Tak oko kwiecie wonieje wiśniowe.

I oto stąpa dusza twoja blada,
A kwiecie drogę całą cicho ściele,
I oto kiedy w górę wzniesiesz głowę
Na usta pada i na oczy pada
Kwiecie wiśniowe.

Otwórz komnatę, bo mi jesień zwarzy
Umiłowane cudne kwiecie twoje;
Wejdę i u stóp wysypię ołtarzy,
Albo ci czoło tą bielą ustroję,
Może ożyje jeszcze i zabłyśnie:
Przypomnisz wiosnę i kwitnące wiśnie!

Zamarzą ci się białe owe puchy
W miesiącu srebrne, promieniste w słońcu,
I smutny Anioł gdzieś na ścieżki końcu,
Idący pośród kwietnych malowideł
I strząsający puchy końcem skrzydeł,
Zamarzy ci się wiosna,
Twoja wiosna!

Otwórz komnatę i wyjdź!
I weźmij kwiecie w ręce,
Bo oto dziwne sąć w niem tajemnice:
W ciszę zapadnie serce—jeśliś w męce,
A jeśliś w smutku — rozradujesz lice,
A jeśliś cały jak w tęczy, w uśmiechu,
Załkasz, i braknie ci do słów oddechu!
Otwórz! Hej! Jesień idzie
Idzie burza!
Skryć mi potrzeba twe wiśniowe puchy,
Bo oto niebo całe się zachmurza
I z gromów będą i z mgieł zawieruchy;
Otwórz, bo burza rośnie...
Weźmij na piersi kwiat
A każdy sen twój niech będzie o wiośnie.

Kornel Nakuszyński.

Katakumby.

(Do illustracyi albumowej.)

Katakumby w nowszej łacinie *Catacumbae* (wyraz pierwotnie pochodzenia greckiego), tak się nazywają obszerne podziemia, które służyły pierwotnym chrześcijanom, mianowicie w czasie prześladowań, za kryjówki i miejsce grzebania zmarłych. Starochrześcijańska ich nazwa jest *Coemeterium.* Korzystano w tym celu niekiedy z opuszczonych łomów kamieni lub puzzolanu, częściej jednak wykuwano je w świeżym kamieniu i z czasem znacznie rozszerzano. Są to zwykle wązkie, wielce rozgałęzione labiryntowe przejścia, w niektórych miejscach idące jedne nad drugiemi w kilku piętrach; po bokach znajdują się wykute w kamieniu czworograniaste groby, przykryte kamienną płytą, opatrzoną nagrobkowemi napisami (po największej części imię zmarłego z monogramem Chrystusa, krzyża, palmy i t. p.). Obszerniejsze przestrzenie (jakby kaplice) między krzyżującemi się przejściami przeznaczone były na miejsce zebrań dla odprawiania obrządków religijnych; zazwyczaj mieścił się tam grób jakiego męczennika, ozdobiony sarkofagiem, który służył za ołtarz. Najliczniejsze i najrozleglejsze katakumby istnieją w okolicach Rzymu (św. Sebastjana, św. Wawrzyńca, św. Agnieszki i t .d.); najwcześniejsze z 111 roku po Chrystusie. W znacznej części zburzyli je Longobardowie w czasie oblegania Rzymu w VIII wieku.

Katakumby dzielono zwykle na trzy części: na korytarze czyli ulice; na komory czyli czworokątne place obszerne i na kościoły.

Korytarze są długie i wązkie, wykute dość regularnie, tak, iż posadzka, oraz sufit, składają kąt prosty z ścianami czasem tak do siebie zbliżonemi, że dwie osoby z trudem wielkim mogą iść obok razem. Niekiedy przebiegają one długą przestrzeń w prostej linii, lecz pokrzyżowane z innemi korytarzami, które również są pokrzyżowane jeszcze innemi, słowem całość tworzy labirynt istny ,istną sieć gęstą podziemnych ulic, oraz uliczek.

Ściany korytarzy, a nawet ściany studni schodowych, są zapełnione grobami; owe groby posiadają kształt framug i większych i mniejszych, dostatecznie długich do pomieszczenia ciała ludzkiego, dorosłego lub dziecinnego, bokiem do korytarza. Idą one rzędami wzdłuż ścian; rzędów takich, jeden nad drugim, od posadzki do sufitu, bywa czternaście niekiedy, zwykle przecież trzy lub cztery.

Ciało, owinięte w prześcieradła, tudzież chusty, składano w tę ciasną komórkę, poczem otwór zamykano bądź taflą marmurową ,bądź częściej, co było sposobem tańszym, dachówkami szerokiemi, zafugowanemi w kamieniu i zakitowanemi cementem. Napis rzeźbiono na marmurze lub wyciskano na niezaschniętem wapnie.

Zbawiciela złożono do grobu w pieczarze, owiniętego prześcieradłami, i korzeniami nabalsamowanego, a wreszcie wmurowano jako płytę, grób zamykającą, kamień sporych rozmiarów.

A ponieważ św. Paweł tak często podaje Jezusa Chrystusa za wzór zmartwychwstania wiernych i mówi, że zostaliśmy wraz z nim w Chrzcie świętym pogrzebani, nic przeto dziwnego, iż wyznawcy Jezusa pragnęli być pogrzebanymi na Jego wzór, aby oczekiwać wraz z Nim zmartwychwstania.

Piękna illustracya albumowa obrazuje pogrzeb chrześcijanki w katakumbach rzymskich za czasów Nerona.

—ski.

Krwawy dramat białogrodzki na scenie.

(Do illustracyi.)

Dyrektor teatru rumuńskiego C. G. Radovici, mając pustą kasę, schwycił się nadzwyczajnych środków, by ją napełnić monetą. W tym celu „sfabrykował“ trzyaktowy dramat p. tyt. „Morderstwo serbskiej pary królewskiej“ i wystawia go z olbrzymiem powodzeniem w Rumunii ku wielkiej uciesze widzów przeważnie o nizkich instynktach. I tak teatr pana Radovici'ego, mający być środkiem kształcenia, pouczania i uszlachetniania publiczności, stał się tym sposobem zwyczajną „budą jarmarczną.“ Byłoby rzeczą niesłuszną w tym przypadku tylko na Rumuńczyków rzucać kamieniem, gdyż, jak wiadomo, i w wielu teatrach amerykańskich, angielskich oraz niemieckich grają pierwszorzę-

dną rolę morderstwo i zabójstwo, atoli o „sfabrykowaniu“ i wprowadzeniu na scenę okrutnego i ohydnego krwawego dramatu białogrodzkiego nie pomyślał ani Niemiec, ani Anglik, ani Amerykanin tylko Rumuńczyk, którego naturalnie sprawa ta obchodziła bliżej. Sceny (patrz illustracye) obrazują przeważnie komizm, a nie okrucieństwo; zresztą troszczono się tylko o wywołanie szeregu nadzwyczajnych efektów, mianowicie przedstawienie krwawej kąpieli w konaku wśród gradu kul i rozlewu krwi lejącej się obficie na scenę z ukrytych pęcherzy rybich. Widzowi naturalnie stoją z przerażenia włosy dębem, a dyrektor teatru robi „świetną kasę“.

—*ski.*

Tęskniąca.

Ach, tak długo czekać trzeba,
Straszne to czekanie!
Gdyby Pan Bóg zesłał z nieba
Już raz to kochanie...

Powiadają ludzie starzy,
Ze kochać nie trudno —
Ależ w sercu krew mnie parzy,
Ależ czekać nudno.

Głowa moja ogniem płonie,
W piersiach tchu brakuje —
Myśl daleko biega, tonie,
Nic się nie szykuje...

Chcę zaśpiewać — więc wesoło
Głos do piosnki stroję,
Lecz tak smutno na około...
Własnych słów się boję...

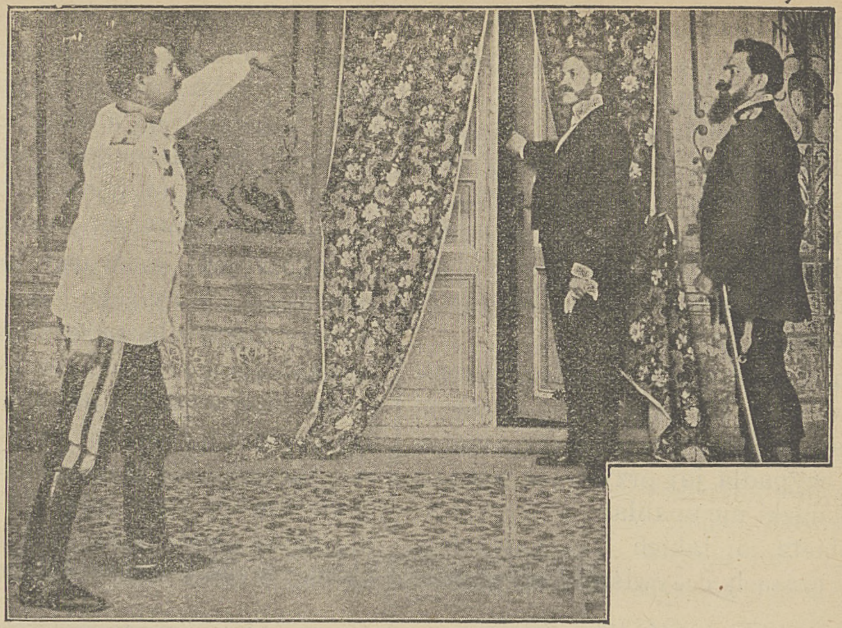
Więc chcę płakać — łzy nie lecą...
Ach straszne czekanie...
W oczach gwiazdy ognia świecą —
Gdybyż to kochanie!...

Mieczysław Dzikowski.

Zapomniany bohater śląski.

Połowa państwa Niemieckiego leży na ruinach dawnej Słowiańszczyzny. Cały świat odrębnej, rodzimej kultury Słowian lechickich, który wykwitał prawie w środku dzisiejszej Europy, ze swymi bogami, „Delfami,“ potężnymi grodami, wszystko znikło na zawsze bez śladu, bez żadnej spuścizny.

„Znikło!“ Ileż to słowo oznacza bolów, rozpaczliwych wysiłków, strasznych zapasów, beznadziejnego konania! Na miejsce wytępionych ludów

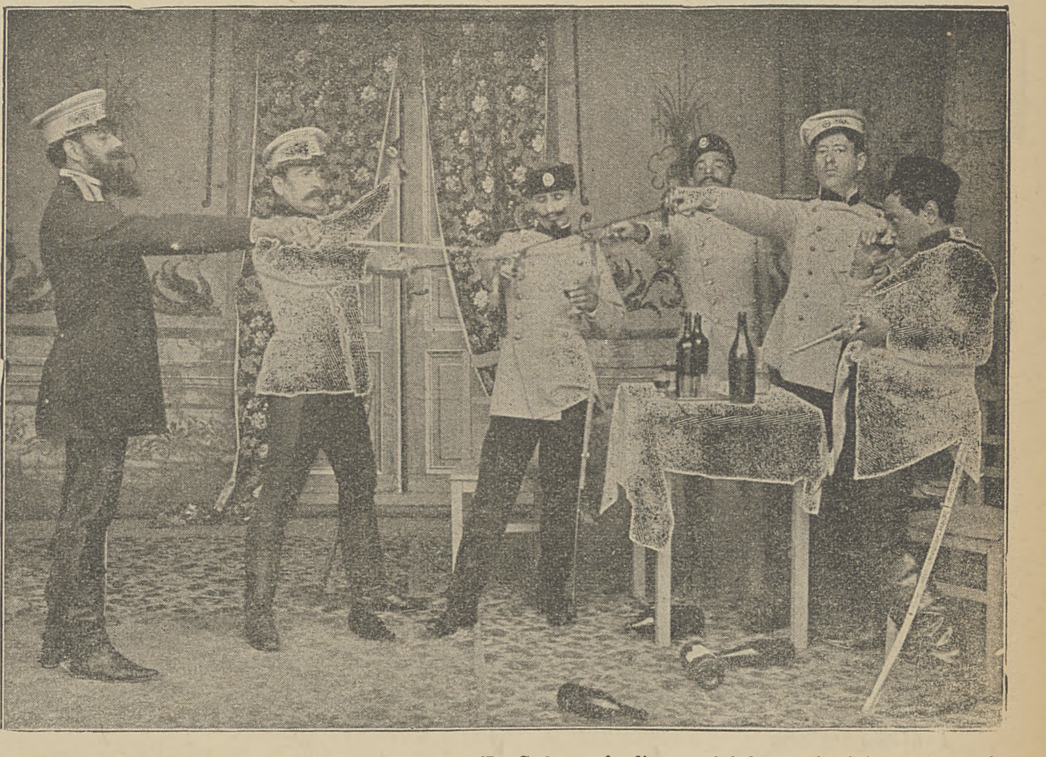


Krwawy dramat białogrodzki na scenie. Akt I: Król Aleksander wyprasza za drzwi dwóch swych faworytów.

weszli pod hasłem rozszerzania wiary... miłości bliźniego, „koloniści.“ Kolonizacya ta była na wstępie zaprawiona chrztem krwawym. Zaczynem dla tego rodzaju „krwawych“ kolonistów był ów legion skazańców i ostatnich wyrzutków, którym cesarz Henryk Ptasznik, zamiast ukarać ich za morderstwo lub kradzież, rozdawał oręż i ziemię tuż pod grodem Merseburgiem, byleby nie tykając Niemców, łotrowali wedle pragnienia śród okolicznych „barbarzyńców“ słowiańskich.

Takim kolonistą był słynny Gero, morderca zaproszonych na ucztę trzydziestu książąt słowiańskich i tylu, tylu innych. Ta bezustanna krucyata, z cesarzem i biskupami na czele, sunęła szparko naprzód, tworząc coraz to nowe pograniczne „marchie.“ Nie znajdując przed sobą gór jak w Czechach, obwarowanych niemi dokoła nakształt twierdzy, po równinie rwał się naprzód ten „furor teutonicus“ coraz dalej na wschód, aż utknął na nas. Nas broniły niezgłębione, dziewicze bory ze słynnemi polskiemi „przesiekami.“ Ale niebawem przyszedł czas, że koloniści złożyli zakrwawione miecze do pochwy i z siekierą w ręku rzucili się trzebić owe puszcze i lasy. To już nie rycerze krzyżowi, to *extirpatores silvarum*, karczownicy lasów... z nimi szła w kraj nasz już nie krzywda i grabież, ale „błogosławieństwo“ cywilizacyi. Śród huku padających odwiecznych puszcz zjawiają się z pieniędzmi gospodarni sołtysi, mieszczanie, rzemieślnicy, a z nimi nowe wynalazki, „cuda“ kultury.

Usposobieniem błogosławieństw, jakie w kraj nasz wniosła kolonizacya niemiecka, jest św. Jadwiga, córka



Krwawy dramat białogrodzki na scenie. Akt II: Spiskowi oficerzy i ich przyjaciele przysięgają zemstę i śmierć tyranowi.

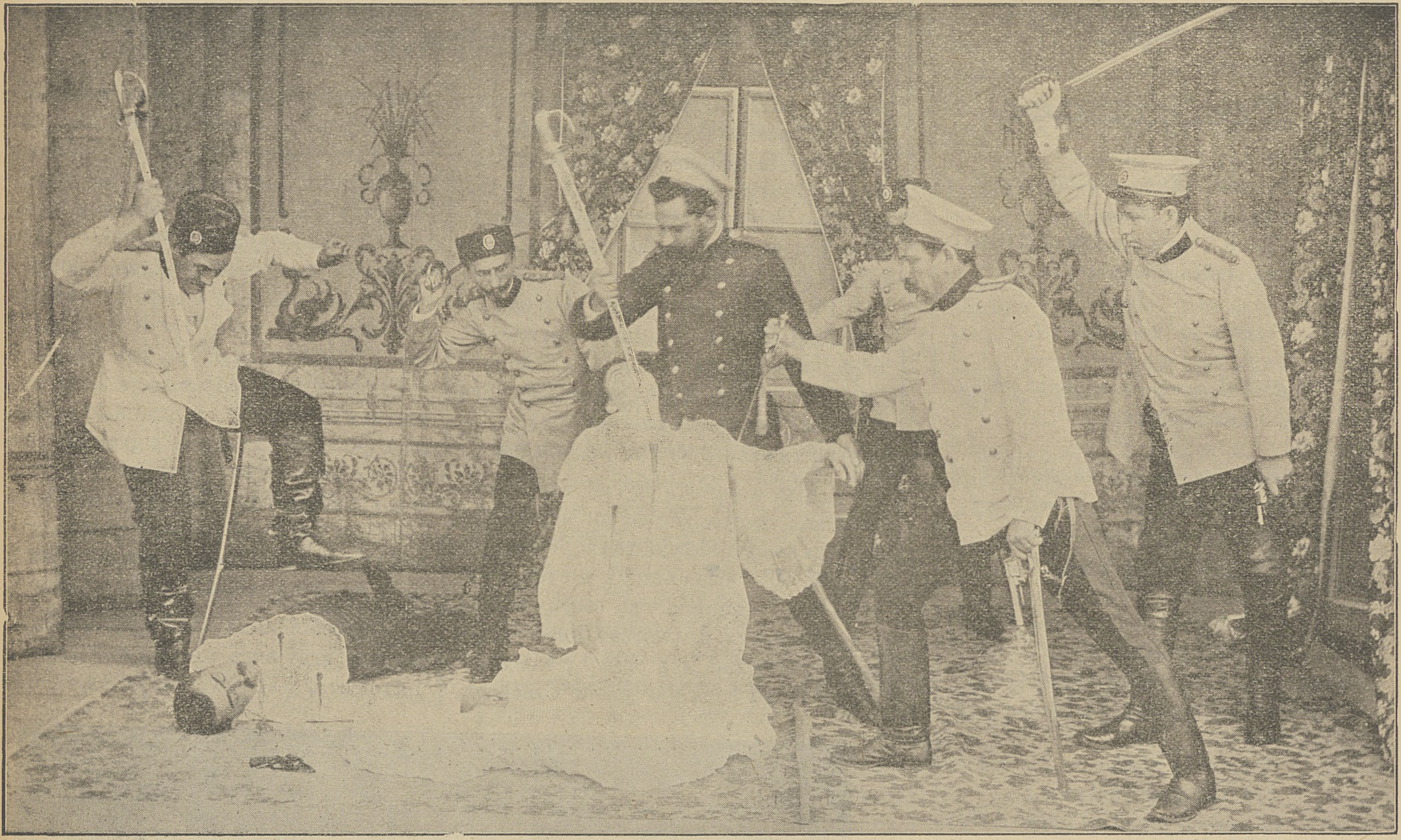
Bertolda, księcia Meranu. Przybyła na Śląsk, oddawszy rękę Henrykowi Brodatemu, księciu śląskiemu.

Była to kobieta w owych czasach niezwykła. Pełna nadzwyczajnej litości dla wszystkich, którzy ulegli w walce o byt, dla żebraków, dla chorych, dla więźniów, a przytem wszystkiem rozumna i wykształcona, „litterata", t. j. umiejąca po łacinie.

Z nadzwyczajnem zajęciem przysłuchiwała się lekturze, lub późno w noc zasypiała nad książką. Raz nawet świeca wypadła jej przytem z rąk i, o cudo, książki nie spaliła.

Kobieta o takich przymiotach w owych czasach oczywiście wywierała ram de Stregun itp. Śród takiego otoczenia o polskości księcia Piasta przypominał chyba głównie ów *sclavus saltans*, błazen-chłop nazwiskiem *Kwiatek*, który dziwaczną swą postawą i ruchami ucieszny mi wywoływał potoki śmiechu śród dworzan książęcych.

Właśnie od czasu tego to Henryka Brodatego i żony jego św. Jadwigi, germanizacya Śląska szczególnie żwawo postępuje naprzód, oczywiście stopniowo i zwolna, bez nacisku i bez protestu i oporu ludności polskiej. Znalazł się jednak wyjątek, znalazł się jeden człowiek, który odczuł instynktownie niebezpieczeństwo i zerwał się do obrony kraju przed nawałą germańską. różnych dzielnic i postanowił wypędzić brata z niewielu Niemcami, którzy wówczas byli na Śląsku. Ojciec tedy i matka, gdy tego nieszczęścia nie mogli zażegnać, ojciec do Głogowa, matka zaś do Niemczy ustąpiwszy, dopuścili synom iść w zapasy. Ci spotkali się na polu między Lignicą a Goldbergiem, w miejscu, które zowie się Studnicą albo Rothkirch. Henryk przybył z Niemcami, przybyszami, i to tak rolnikami, jak i rycerzami, których skądinąd sprowadził. Po wyrznięciu niezliczonej liczby Polaków, a rozproszeniu tych z nich, którzy umknąć zdołali, Henryk z tryumfem plac boju otrzymał. Konrad, ratując życie, umknął



Krwawy dramat białogrodzki na scenie. Akt III: Morderstwo.

wpływ potężny na dworze księcia śląskiego. Wpływ ten sam przez się musiał zaznaczyć się i pod względem narodowym, tem więcej, że germanizacya już przed nią tu się zakradła. W czasie obecnej doby dzielnicowej, właśnie linia śląska szukała związków z Niemcami i na nich się opierała przeciw reszcie Piastów. Sam Henryk Brodaty, wnuk i syn Niemek, gdy nadto teraz pojął tak niezwykłą księżniczkę niemiecką, uległ wpływowi kultury niemieckiej.

Dwór jego zaroił się Niemcami, w orszaku księcia pełno rycerzy teutońskich. Są i Peregryn i Gebhard v. Wissenburg i Rudolf, i Günter v. Biberstein, i Godfryd Bawarczyk, i Emme- Oto w kronice śląsko-polskiej czytamy o następującem ciekawem zdarzeniu, które przypadło około roku 1213. Autor Niemiec w tej kronice ułożonej w 90 lat niespełna po tym fakcie pisze:

„Za życia jeszcze Henryka (Brodatego) i jego małżonki (św. Jadwigi) rzucił dyabeł ziarno niezgody między syny ich, Henryka i Konrada. Dla młodszego syna Konrada starał się ojciec o córkę księcia saksońskiego, naznaczając mu ziemię łużycką i lubuską, starszego zaś Henryka postanowił zostawić ogólnym spadkobiercą na tronie polskim (regem Poloniae instituere). Dowiedziawszy się o tem, Konrad, który Niemców nienawidził (*qui Teutonicos exsecrabatur*), zebrał Polaków z do ojca i schronił się do puszczy Tarnowskiej, gdzie na łowach spadł z konia i złamawszy golenie umarł. I zaniesiony do Trzebnicy, pochowany jest w kaplicy, ze względu na siostrę, która go bardzo kochała [1]). Zwano go Kędzierzawym. Gdy miano zaprosić matkę na jego pogrzeb, zatajono przed nią jego śmierć i wezwano ją rzekomo do chorującego tylko syna, ale ona rzekła: „Darmo udajecie, że chory ten, którego idę pogrześć, bo ja jego śmierć przedtem już przewidywałam, gdy

[1]) Siostra ta, Gertruda, była właśnie ksienią tegoż klasztoru Cystersek. Przywdziała habit dotknięta śmiercią swego narzeczonego palatyna Ottona v. Wittelsbacha, zabójcy króla Filipa.

kutek jego lekkomyślności popłynęła krew wielu niewinnie...‘‘

Nie trzeba zapominać, że opis przedstawionej tu katastrofy, zaszłej w łonie śląskiej dynastyi Piastowskiej, jest urywkiem z kroniki, której autor Niemiec miał właśnie na celu chwałę i podniesienie tej gałęzi Piastów. Pisał w czasie, gdy zaczęła wznawiać się myśl zjednoczenia dzielnic polskich i koronacyi wspólnego króla, pisał w chwili, gdy właśnie pierwsza próba koronacyi przez Przemysława wielkopolskiego zakończyła się zgładzeniem jego przez skrytobójców nasadzonych przez margrabiów brandenburskich. Kronikarz wymienia właśnie całą genealogię Piastów, aby udowodnić, że najstarsza a zniemczona linia śląska wespół z potomkami następnymi Henryka (brata Konrada) ma przedewszystkiem prawo do korony polskiej. Dlatego to podkreśla (popełniając anachronizm), że Brodaty syna Henryka mianował po sobie „królem polskim.‘‘ Wszystko to tłómaczy jasno falsz, którego dopuścił się w przedstawionym ustępie kronikarz. Nazwał Konrada młodszym, a Henryka starszym, gdy było wprost przeciwnie [2]).

Konrad był starszym, on zatem miał prawo do następstwa po ojcu. Miał prawo wystąpić przeciw uroszczeniom brata młodszego i bronić się przeciw zamiarom wysunięcia Henryka na właściwego spadkobiercę. Matka widocznie stała po stronie młodszego syna Henryka. Tak przypuszcza już w swej kronice Długosz. Długosz sądzi nawet, że i sam plan usunięcia Henryka od rządów wyszedł z głowy księżny Jadwigi. Nic dziwnego. Między tą Niemką a synem, który *„exsecrabatur Teutonicos,‘‘* nie mogło być takiej miłości, jaka ją wiązała z Henrykiem, zwolennikiem i przyjacielem Niemców. Stąd to — rzecz znamienna — matka tak ostro potępia starszego syna Konrada za lekkomyślne przelanie krwi pod Studnicą, gdy to skarcenie raczej należało zwrócić ku młodszemu, który mniejsze miał prawa do następstwa po ojcu. Przeczuwał dobrze snadź Konrad, że nie u matki-Niemki, lecz w piastowskiem sercu ojca znajdzie więcej współczucia, kiedy do ojcowskiego grodu ucieka po klęsce, nie do „Niemczy.‘‘ Matka jego z góry przepowiedziała, że zapasy braci skończą się wygraną jej umiłowanego syna, a śmiercią „lekkomyślnego‘‘ Konrada. Z góry przeczuwała jak wypadnie ten „sąd Boży.‘‘ Wypadł na niekorzyść tego syna, który wystąpił przeciw prądom swej epoki. Konrad nie chciał być synem swych czasów.

Człowiek to osobliwy. W chwili, gdy wokoło niego cała Polska wita Niemców i garnie się ku nim, gdy zaprasza usilnie Krzyżaków, gdy książęta i rycerze zwabiają Niemców ku sobie, rozdając im puszcze na budowanie nowych osad, klasztorów, miast, młynów, kuźnic i błogosławią ich następnie za wprowadzone narzędzia i wynalazki, gdy całe wieśniactwo rade im za swobody i wolności „prawa niemieckiego‘‘, które rozkuwają je z dawnej niewoli — on wtenczas „exsecrabatur Teutonicos,‘‘ i... on chciał bawić się w zawiści rasowe ,wtedy gdy cały świat oddany był internacyonalnej ascezie średniowiecznej, lub myślał o pomnożeniu zasobów gospodarczych.

Wpatrzony w przeszłość „barbarzyńską,‘‘ nie odczuwał tego, co się koło niego dzieje, nie wierzył w dary „kultury‘‘ niemieckiej. On, najstarszy syn najstarszej linii Piastowskiej śród ruin Polski dzielnicowej poczuł w sobie tętno krwi dawnych Bolesławów, swoich w najprostszej linii antenatów, uczuł się powołanym do wskrzeszenia tradycyi Chrobrych, Śmiałych, Krzywoustych i jak oni chciał usłać wrogom „psie pola.‘‘ A więc jak oni zaczynali panowania, tak i on umyślił zacząć od wypędzenia innych Piastów, a więc naprzód brata ze Śląska, a może potem i reszty Piastów z innych dzielnic i wszystko w swej ręce zjendoczyć.

Marzenia to były. Przewaliła się przez niego powódź kolonizacyi niemieckiej. Zwyciężony przez Niemców, tułał się po borach, które dawniej chroniły jego przodków od Niemców, ale dziś już zakłócał je huk toporów niemieckich. W tych rzedniejących puszczach zginął Konrad Kędzierzawy.

Był to ostatni, a ze śląskich jedyny Piast, który podniósł oręż w obronie tej dzielnicy przed pokojowem a powolnem jej niemczeniem.

Po bitwie studnickiej, która jedynie zamąciła postęp germanizacyi, wynarodowienie dzielnicy szerzyło się już bez przeszkody. Nie! prawda na krótki czas zakłóciła tę pracę kolonizacyjną inna zawierucha. Od wschodu słońca przypadła straszna nawałnica — napad Tatarów. Wtedy jakaś nemezis dziejowa zmusiła syna Henryka stoczyć bitwę z tymi Tatarami, właśnie tuż pod samą Lignicą, pod którą pogromił starszego brata Konrada, i pod razami tej dziczy ledz na pobojowisku. Matka jego miała doczekać tej śmierci syna „Europejczyka‘‘ w walce ze wschodnimi „barbarzyńcami‘‘, wylęgłymi z Tartaru.

Henryk, jako rycerz, co padł w bramach Europy na wyłomie, w walce z dziką tłuszczą azyatycką przeszedł do historyi. Brat jego starszy tam się nie dostał. Niktby o nim nawet sobie nie przypomniał, ani wiedział o wzlotach jego duszy, gdyby nie nienawistna dla niego notatka kronikarza-Niemca. Dziś nawet jedyny ocalały przed zniemczeniem chłop Górnoślązak nie wie podobno nic o swym bohaterze Piaście. Przed trybunałem dziejów nie ostoją się ci, dla których współcześni byli zimni jak głaz, nie ostoją się ci, którzy zginęli nawet bez echa, bez łzy, niezrozumiani przez nikogo, nawet przez matkę swą świętą...

Nie przed trybunałem dziejów iść marzycielom, takiej postaci stanąć raczej przd jakim wieszczem i natchnąć go do pieśni, a ona może ludzi dopiero rozgrzeje. Taka postać zapomniana wstaje wtedy, jak on ptak cudowny z popiołów, po wiekach zapomnienia staje się zrozumiałością dla następnych pokoleń, a nawet czasem ich promiennym, pozagrobowym wodzem.

„...Alboż wiedzieć jesteś w stanie,
Gdzie dziś kiełkuje siew z przed lat tysiąca
I jakim kwiatem wspaniałym powstanie



Derwisz opowiadający legendy.

[2]) Dowody u St. Smolki „Henryk Brodaty“, str. 100, uwaga.

W jutrzennych promieniach słońca?
Jaka ożywcza i płodna potęga
Zamierzchłej pracy wiek nowy zasila?
I gdzie lecąca z ust oddechem chwila
W potężnych skutkach swych sięga?...“
„T. I.“

Legendy derwiszów.

(Do illustracyi.)

Ludy Wschodu odznaczają się nadzwyczaj bogatą wyobraźnią. Opowiadania ich, legendy, przedstawiają zawsze świat czarów, dziwów nadprzyrodzonych. W legendach takich lubują się Turcy, Arabowie, Persi i wogóle mieszkańcy Wschodu. Najwięcej jednak legend krąży wśród derwiszów perskich. Derwisze — są to członkowie zgromadzeń, żyjących w ubóstwie według reguły zakonnej. Codziennie zbierają się w miejscach umówionych na modły i słuchanie legend. Nieraz spotkać ich można pod murami miasta, zebranych tłumnie, słuchających w najwyższem skupieniu opowiadań, tworzonych zazwyczaj z fantazyi. Persya głównie słynie wielką liczbą takich opowiadaczy. Rysunek nasz przedstawia właśnie derwisza opowiadającego legendy.

—ski.

Rybak.

Nad błękitną morza tonią
Dumał rybak młody....
Ponad morzem mewy gonią,
Cicho szemrzą wody.
A na fali gwiazd tysiące
Dobroczynne nieci słońce.

I ta morza przestrzeń szara,
Skry na wód błękicie,
To jedyna jego mara,
To rybaka życie.
W niej pogrzebał swe nadzieje,
Jej powierzył swe koleje.

Cóż ci z tego, że za chwilę
Może rykną gromy;
Wody zwite w wichru sile
Spiętrzą się jak domy?
Droga fala w uraganie
Nawet drogą pozostanie!

O nie pytaj, czy sił starczy
Zwalczyć wichru wycie.
Kto od dziecka niem frymarczy,
Zali dba o życie?
W własnych marzeń aureoli
I śmierć nawet nie zaboli.

Chociaż w okół gromów bicia
Wśród natury szału,
Wszakżeż żyjem nie dla życia,
Lecz dla ideału. —
Gdy nadzieja szczęściem całem,
Bracia, żyjmy ideałem!

Hej, rybaku, rzucaj sieci
I na fale spiesz;
Wśród piorunów, burz, zamieci
W wybawienie wierz.
Gdy zwyciężysz, chwała tobie;
Zginiesz—chwałę znajdziesz w grobie!
Jan Koraszewski.

Wspomnienia z niewoli moskiewskiej roku 1863-go,

przez **B. M.**

I.

(Wyprawa Jordana. — Formacya oddziału i przejście Wisły. — Bitwa pod Komorowem. — Wzięcie w niewolę.)

Oddawna pragnąłem zapoznać się z życiem partyzanckiem, ale mając do walczenia z różnemi przeszkodami, których tu wyjaśniać nie mogę, zaledwie pod sam koniec lata r. 1863 zdołałem połączyć się z braćmi, którzy dążyli do Królestwa. Wyjechawszy nakoniec z Krakowa koleją żelazną do Dębicy, wsiadłem tam na wóz, który mię oczekiwał, i ruszyłem ku Wiśle. Po krótkiej podróży stanąłem w domu jednego obywatela, niedaleko granicy. Zastałem tu ruch nadzwyczajny. Mnóstwo osób, między któremi ani jednej znajomej nie dopatrzyłem twarzy, krzątało się na wszystkie strony; jedni rozmawiali, drudzy biegali do stajni, wyprowadzali i siodłali konie, inni czyścili pałasze i rewolwery. Wśród tego wszystkiego, ciągle nadjeżdżały bryczki i wozy, wiozące to kuryerów, to coraz nowe transporty — podróżnych, do jednego ze mną celu dążących. Ktoby był nie wiedział, że jest powstanie w Polsce, musiałby się był domyśleć, co się święci, patrząc na te przygotowania. W takich okolicznościach, znajomości robią się szybko — to też i ja zapoznałem się w okamgnieniu z mnóstwem przyszłych moich kolegów, i zostałem przedstawiony komendantowi formującego się oddziału, majorowi Hościakiewiczowi. Był to nasz dowódzca bezpośredni, główną zaś komendę nad nami i nad drugim oddziałem, prowadzonym przez Dunajewskiego, miał jenerał Jordan, przeznaczony na naczelnika gubernii Radomskiej. Jenerał przyłączył się do naszego oddziału, z Dunajewskim zaś mieliśmy się złączyć dopiero po przejściu Wisły.

Około godziny siódmej wieczorem ruszyliśmy na właściwy punkt zborny, półtory mili odległy od domu, w którymyśmy się dotychczas znajdowali. Czterdzieści różnych furmanek, na każdej po dwóch do trzech ludzi, wiozło nas do tego miejsca. Staraliśmy się zachować jaknajciszej, by czasem jaka patrol, przywabiona wrzawą, nie chciała nam zastąpić drogi. Dostawszy się szczęśliwie w las, o pół mili od miejsca zboru, pozsiadaliśmy z wozów i pieszo ruszyliśmy dalej. Przyłączyło się do nas tymczasem kilka innych partyi należących do oddziału, i razem z niemi przedzieraliśmy się przez krzaki i kręte manowce ku naszemu obozowi, co przy zapadającym zmroku połączone było z niemałą trudnością. Trzeba było uważać, żeby najprzód, nie zabłądzić w lesie, albo nie zdradzić pochodu zbytnią wrzawą, a potem, żeby gdzie nie wywrócić kozła wśród gęstwiny i pniaków.

Po tych pierwszych trudach partyzanckich przybyliśmy wreszcie na punkt zborny, czyli jak się wyrażali powstańcy, stanęliśmy w „obozie“.

Szumny ten tytuł nosiła tu niewielka przestrzeń ziemi, mogąca mieć 300 kroków długości a 80 szerokości, ze wszystkich stron okolona starym, wysokim i gęstym borem. Na jednym jej końcu złożone były i czekały na nas paki z bronią, amunicyą, mundurami, bielizną, obuwiem i żywnością, na drugim zaś znajdowały się konie, przywiązane do drzew i mniej lub więcej cierpliwie oczekujące swoich jeźdców.

Natychmiast po przybyciu naszem obstawiono obóz czatami, by nas jaka patrol nie zeszła z nienacka, a nim przystąpiono do ekwipowania i uzbrojenia oddziału, miałem czas przypatrzyć się ludziom, z których się składała nasza wyprawa.

Rzadko kiedy zdarzyło mi się widzieć podobną rozmaitość pod względem pochodzenia, stanowiska społecznego i wszystkich w ogóle cech zewnętrznych, któremi ludzie mogą się różnić między sobą. Była tam młodzież z domów zamożnych posiadaczy ziemskich, rzemieślnicy, studenci, oficerowie i żołnierze różnych wojsk i różnej broni, lekarze, księża, prawnicy, ba nawet kilku żydków przechadzało się między nami, w długich swoich żupanach. Oprócz tego, że wszystkie warstwy i odcienia naszego społeczeństwa polskiego, postawiły były każda swój kontyngens, mieliśmy jeszcze Węgrów i Kroatów, których tu przywiodła sympatya dla Polaków.

Przyznam się, że jako oficera regu-

larnej armii, w tak świeżej jeszcze pamięci mającego jednostajną i wszechstronnie przeprowadzoną organizacyę wojskową, zastanowiła i niemiło dotknęła mię myśl, jakim sposobem będzie można za kilkanaście godzin poprowadzić przeciw groźnemu nieprzyjacielowi ten tłum gwarzący i rojący się na kształt mrowiska, w którym czasem trudno było przyjść do słowa, by się dowołać najmniejszej rzeczy, i w którym mało było ludzi, znających się nawzajem. Cóż dopiero mówić o owym niezbędnym dla każdego oficera warunku, żeby znał tych, którym ma przewodniczyć? Lecz zafrasowawszy się na chwilę tą obcą mi dotychczas trudnością, nabrałem otuchy, bo przypomniałem sobie, że z takim to a nie innym żołnierzem, przy gorszem daleko uzbrojeniu, Langiewicz tak długo stawiał czoło Moskalom, a Jeziorański w podobnych okolicznościach jak nasze, stoczył ów pamiętny bój pod Kobylanką, z którym w historyi wojen nowożytnych tylko chyba obronę Olszyny pod Grochowem porównać można. Im bardziej przypatrywałem się tej młodzieży, nieobznajmionej wcale z bronią, ale pełnej bohaterskiego ducha, tem więcej żałowałem, że nie będzie czasu pokazać przynajmniej najniedoświadczeńszym, jak się nabija karabin. Gdyby nam choć sześć dni zostawiono do potrzebnego zformowania się, bylibyśmy się długo i skutecznie trzymać mogli, ale niestety! musieliśmy czemprędzej przechodzić Wisłę, za którą nieprzyjaciel już i tak o wkroczeniu naszem zawiadomiony, gromadził przeciw nam siły przeważne.

Do godziny 11-tej w nocy intendentura nasza zatrudnioną była otwieraniem pak, wybieraniem i sortowaniem rzeczy, które się w nich znajdowały. Ciemno już było zupełnie, tylko czasem księżyc wyglądający z poza chmur przyglądał się nam ciekawie, i jak gdyby się wstydził tego szpiegowania, chował się znowu czemprędzej. Nakoniec dano hasło do ustawiania ludzi. Mianowani już pierwej oficerowie wystąpili naprzód i sformowali wszystkich w dwa szeregi, które jak się po przeliczeniu okazało, obejmowały 300 ludzi piechoty i 50 jazdy. Piechotę podzielono na cztery kompanie, poprzeznaczono podoficerów i przystąpiono do rozdawania broni i innych efektów.

Tu dopiero wszczął się hałas niepospolity. Każden chciał sobie sam wybierać, co mu do gustu przypadało. Dopiero połączone usiłowania oficerów sprawiły, że każden został na swojem miejscu i czekał cierpliwie, co mu dadzą.

Przypomniano najprzód wszystkim surowo, że odtąd są żołnierzami, obowiązanymi do posłuszeństwa i podlegającymi nieubłaganemu prawu wojennemu, że nawet owa dawna złota wolność szlachecka w czasach najbujniejszego swego rozwoju, w obozie naginała się pod energiczne „artykuły hetmańskie''. Następnie, jedna kompania po drugiej otrzymała broń i mundury. Tych ostatnich było za mało, każden dostał więc tylko to, co mu było najpotrzebniejsze. Za to wszyscy bez wyjątku zaopatrzeni zostali w ładownice napełnione nabojami i w doskonałą broń palną z bagnetami, taką samą, jakiej wówczas używała armia austryacka.

Przy rozdawaniu tych rzeczy zdarzało się kilkakrotnie, że ten lub ów oficer widząc zbyt młodego chłopca stojącego w szeregu, chciał go odprawić do domu, ale dzieciaki póty się opierały i prosiły, póki im nie pozwolono zostać.

Kawalerya nasza bardzo pięknie wyglądała, bo miała i dzielne konie i ładne mundury, choć jaskrawe chorągiewki o barwach narodowych i połyskujące czworograniaste kaski trochę za daleko, jak na partyzantów, świeciły. Był jeden pluton ułanów, a drugi dragonów.

O 6-tej rano, nie kładszy się do snu ani na chwilę, byliśmy wreszcie gotowi, dano więc rozkaz do pochodu. Kompania zostająca pod moją komendą, została przeznaczoną do przedniej straży, wytłumaczyłem tedy najprzód moim żołnierzom, jak się mają zachować, i ustawiłem ich sam jak należało, potem prowadzeni przez przewodnika, leśniczego z tamtych okolic, ruszyliśmy ku Wiśle. Po całogodzinnym marszu stanęliśmy nad jej brzegami. Wyprawiono naprzód patrol złożoną z półplutonu jazdy, a gdy ta wróciła z doniesieniem, że nieprzyjaciela nie widać, piechota trzymając ładownicę w zębach a karabiny w górę podniesione, przeszła w bród rzekę, mającą w tem miejscu około 4-ry stóp głębokości. Przejście całego oddziału zostało uskutecznione w przeciągu kwadransu, i natychmiast ruszono w dalszy pochód.

Uszedłszy ćwierć mili, ujrzeliśmy w odległości 2000 kroków przed nami trzech kozaków, z których na nasz widok jeden puścił się pędem ku Stobnicy, dwaj zaś inni ku Połańcowi. Kilku naszych puściło się za nimi w pogoń, lecz ta okazała się daremną.

Odtąd nie mogłem już wątpić, że tego samego dnia jeszcze przyjdzie do bitwy, jakoż dowiedzieliśmy się niezadługo, że o milę przed nami czeka na nas rota piechoty moskiewskiej (2000 ludzi). Uniknąć starcia było niepodobieństwem, ruszyliśmy wtedy naprzód. Zbliżając się do wsi, zwanej, jeżli się nie mylę, Rataje, spostrzegłem chłopa uciekającego ze wsi. Kazałem go schwytać i spytałem, czy nie widział Moskali. Drżąc ze strachu, pokazał mi stodołę i chatę schowaną w wysokiem życie, z którego i nas mało co widać było. W obydwu tych budynkach, o 600 kroków od nas, zaczaili się byli Moskale. Puściwszy więc chłopa i dawszy znać komendantowi o tem, czego się dowiedziałem, rozwinąłem przednią straż w łańcuch tyralierski. Druga kompania, otrzymawszy poprzednio błogosławieństwo od księdza, w takimże łańcuchu posunęła się naprzód, w ten sposób, byśmy kryjówkę nieprzyjaciela z dwóch stron zaatakować mogli. Posuwaliśmy się naprzód w milczeniu; w tem padł strzał moskiewski, nasza odpowiedź nastąpiła natychmiast i bój się rozpoczął.

W niejednej już gorącej przeprawie z gwizdaniem kul i hukiem strzałów oswojony, mogłem się teraz przypapatrywać spokojnie, jakie wrażenie igraszka ta robiła na moich nowicjuszach. Jedni z najzimniejszą krwią w świecie nabijali karabiny, mierzyli i strzelali w okna chaty, z których rzęsiście się sypały strzały moskiewskie; inni czynili to samo z jakąś gorączkową skwapliwością, dwóch lub trzech nareszcie zaraz z początku uznało za najstósowniejsze, wrócić się ku Wiśle, ale surowe skarcenie tego zamiaru zatrzymało ich na miejscu.

Po półtoragodzinnym boju, gdyśmy liczyli pięciu zabitych i jedenaście rannych, przysłano nam na wzmocnienie łańcucha tyralierskiego trzecią kompanię piechoty; czwarta zaś została w rezerwie. Jazda, skazana na bezczynność, stała na boku. Dotychczas walka nie rozstrzygała się na niczyją korzyść, bo też nie przypuszczając szturmu, nie wiele szkody mogliśmy zrobić Moskalom, których zasłaniały powyżej wspomnione budynki. Wtem od strony Połańca ukazał się szwadron dragonów, zagrażający naszemu prawemu skrzydłu. Obrócono przeciw niemu czwartą kompanię, lecz dragoni objechali nasz front w odległości 2000 kroków, zajęli nam tył i zsiadłszy z koni, rozpoczęli ogień tyralierski, na który im czwarta kompania celnie odpowiadała. Słyszałem ciągle ich trąbkę, powtarzającą jakiś nieznany mi sygnał; często wracali i siadali na koń, poczem nasza czwarta kompania formowała kupki — i znowu, gdy zsiedli, rozwijała się w łańcuch. Z tego wszystkiego widać było, że nie-

przyjaciel ma tylko zamiar zatrudniać nas, ale nie myśli przypuścić stanowczego ataku. Bądź co bądź, trzeba było wybrnąć z tego położenia i zakończyć potyczkę, która się już była przeciągnęła cztery godziny, i trwała do drugiej po południu. Dano tedy rozkaz do szturmu na stodołę i chatę, zajętą przez Moskali. Budynki te, stanowiąc ostatni kraniec wsi Rataje, znajdowały się na równinie okrytej wszędzie dosyć już wysokiem zbożem, i otoczone były wysokim i silnym płotem. O 250 kroków od nich, na prawem naszem skrzydle, była jakaś na pół rozwalona szopa, stanowiąca dla nas punkt wejścia do szturmu, przed nią zaś był drugi płot, który nas dzielił od pierwszego.

Obydwa te płoty trzeba było przełazić, a przed i za niemi przebywać długą przestrzeń całkiem odkrytą, pod gęstym i morderczym ogniem nieprzyjaciół, którym z naszej strony niewiele mogliśmy szkodzić. Nic tedy dziwnego, że zdobycie domostw bagnetem nie powiodło się wcale, Major Hościakiewicz z karabinem w ręku rzucił się naprzód, za nim najdzielniejsza młodzież, ale usiłowanie ich było daremne. Zaledwie kilkunastu przebyło drugi płot i dotarło do samych budynków. Jedni tam znaleźli śmierć bohaterską, między innymi młody hr. Julian Tarnowski; reszta musiała się wrócić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Widzenie rotmistrzowe.

(Dokończenie.)

— Człowiek strzela, a Bóg kule nosi, — wola w tem Jego święta, — westchnął przygnębiony i zbierał się już zaczepić gościa swego coś ex publicis, bo to, co z mowy jego w słuch mu wpadło, nie było wcale pocieszającem, a raczej dziwnem bardzo.

Brakło mu jednak czasu, bo w tej chwili wpadł do komnaty wyrostek raz drugi.

— Proszę jegomości! — rzekł głosem zdyszanym, a zęby mu kłapały, jak u młodego wilka. — Niech jegomość uchodzą, bo środkiem gościńca leci na nas, widno nieczysta siła!...

— Ejże! co gadasz? — fuknął rotmistrz, porywając się zgniewany. — Czyś zdurzał?...

— Bies, jako żywo, proszę jegomości.

— Bies? Sprawię ja jemu egzorcyzm. Daj jeno tutaj karabelę moją poświęconą!...

— Jakiś ciekawy spektakl. Il faut le voir, — wsunął szambelan, dążąc za dziadkiem na ganek.

A tu już cała niemal, obu panów służba stała, mając oczy utkwione w gościniec krakowski, którym, jakoby z łuku wyrzucona strzała, leciało istotnie coś niepojętego.

Zrazu wydało się wszystkim, że widzą żórawia sunącego po nad ziemią, lecz wkrótce błąd poznano.

Gościńcem toczyło się wielkie żelazne koło, wprowadzone w ruch siłą znać nadprzyrodzoną i migoczące w blaskach słońca ogniami tysiącznymi; nad niem zaś w górze unosiła się, wymachując zawzięcie cienkiemi nogami, z głową ku ziemi pochyloną i grzbietem w pałąk zgiętym, maleńka figurka człowiecza.

Po dokładnem rozpatrzeniu pokazało się, iż siedzi ona właśnie na obręczy koła i musi stanowić z niem jednolitą całość, boćby inaczej zleciała. Łatwo też pojąć zdumienie patrzących, gdy naraz koło, wywróciło się, a cudaczek dwa kozły w górze zakręciwszy, padł z impetem nieopodal niego.

Na razie sądzono, iż musiał się zepsuć, ale tak źle nie było. Człowieczek wstał, obmacał nos, znać trochę uszkodzony i dosiadłszy z powrotem piekielnej machiny, pomknął znowu raźno z miejsca, wprost na dworzec rotmistrzowy, gdzie już nań oczekiwano z rosnącą nieufnością, egzorcyzmy z cicha odmawiając.

Tu zeskoczywszy z rumaka swego, u słupa go zostawił i na ganek śmiało wszedł, przed gospodarza, który uczynił na piersiach znak krzyża świętego, cofając się mimowolnie.

Gdyby nie obawa paraliżująca tak służbę, jak i pana, niezawodnie chóralnym wybuchniętoby śmiechem, na widok przybyłego.

Pocieszna to zaiste była figurka i komiczny przedstawiała okaz:

Pluderki szare, obciśnięte, a na jednym kolanie szpetnie nadwerężone i kubraczek tejże barwy, z gwiazdką mosiężną na klapie, uszłyby jeszcze od biedy. Ale karzełek miał na głowie coś, w rodzaju mycki z welonikiem z tyłu; z pod onej mycki zaś wyglądała okrągła, pucołowata twarz, ozdobiona kozią bródką i mysimi wąsikami, a mająca zamiast oczu dwa maciupkie, szklane, do zdrapanego nosa przytwierdzone okienka, od których cienki zwieszał się sznureczek i opądał aż na piersi.

Ponieważ nikt się nie odzywał, więc osobliwy gość począł mówić, składając przytem ukłon zgrabny i odkrywając głowę:

— Wracam właśnie z ostatniego rekordu: Wiedeń — Kraków, gdzie tę oto oznakę honorową zdobyłem, — tu wskazał mosiężną gwiazdkę — A powracając, wstępuję, by szanownemu rotmistrzowi życzyć wszelkich pomyślności w dniu jego imienin. Sługa pana szambelana.

Po jakiemu on prawi? — zwrócił się rotmistrz do wnuka. — Miarkuję i tak i tak, a wymiarkować całkiem nie mogę.

— Nie wiem — odparł zagadnięty, wzruszając ramionami i patrząc na cudaka z ironicznym uśmiechem — Myślę jednak, że po polsku. Chce nam czegoś winszować.

— A rozpytajże go waszmość z swej łaski, kto zacz jest i skąd się wziął tutaj?

— Skądżeś waćpan tutaj zleciał? — począł szambelan indagować.

— A no z bicykla, ale to głupstwo! Gdym rozpoczynał kurs, to myślałem, że się już na nic porozbijam, bo co trzy kroki ryłem nosem ziemię. A ot teraz, ja z dwunastu trzeci stanąłem u mety.

— Więc jest was takich więcej!?...

— Ba, gdyby nie szło o flotę, to wszyscyby kołowali. Ale maszyny wściekle drogie, a pieniędzy brakuje, tak, że nawet cyklodromu porządnego nie mamy. Psie czasy!...

— Więc czego sobie waćpan właściwie życzysz?

— Chciałbym mieć rower elektryczny. Byłaby pyszna rzecz! Myślałem właśnie o nim, jadąc dzisiaj tutaj, by jako jeden z najbliższych prawnuków, odwiedzić pana rotmistrza. Proszę mi tylko wybaczyć strój nieco uszkodzony, — tu spojrzał na swoje kolano ukosem, — ale chcąc zdobyć żeton pamiątkowy, trudno się oszczędzać a...

Chciał jeszcze mówić dalej, lecz szambelan nie słuchając, do rotmistrza się żywo odwrócił.

— Uważasz — zawołał mocno poruszony. — To pół - dyable mieni się być herbowym prawnukiem waszym.

— Co!... a niecnota jeden! — wrzasnął rotmistrz wściekle.

I z takim rozmachem naprzód skoczył że... aż z dębowej ławy spadł, co go ze snu odrazu zbudziło.

. . . .

Jednocześnie do izby, zwabiona hałasem, wbiegła pospiesznie pani rotmistrzowa

— Dla Boga! — rzekła przestraszona .— A jegomości co takiego? Ryczysz, jakoby niedźwiedź w kniei.

— O rety! — jęknął w odpowiedzi głosem zdławionym. — Muszę ja chyba jakowyś nieznany, a przecie ciężki grzech na sumieniu mieć, bo mnie Pan Bóg szpetnym snem nawiedził, od którego, ile że mnie okrutnie przejęło, czu-

ję jeszcze śmiertelny pot i srogą alteracyę. Moja panno, ślijże duchem po ojca Dominika. Trza mi jego świętobliwej rady zasięgnąć i przez siedem piątków biczowanie odprawić do siedmiu ran Zbawiciela, aby mnie się raz drugi, takowe czartowskie nie uczepiło widzenie.

Natalia Bardzka.

Jakże ja cię w świat powiodę...

Jakże ja cię w świat powiodę
Na te wichry, niepogodę,
Na te gromy życia srogie
I piorunów brzmienie wrogie?
Jak uchronię, jak zaradzę?
Jakże ja cię poprowadzę,
W pośród życia fal,
W tę przyszłości dal,
Dziecino?

By ci skrzydeł nie złamano,
Skarbów serca nie zdeptano,
Abyś kiedyś nie spytała:
Po coś ty mi, Matko, wlała
W serce wzniosłych uczuć kwiat?
Po coś wiodła w złudny świat?

Jakże ja cię w świat powiodę,
Na tę mętną życia wodę,
Na te głazy i na głogi,
Na cierniowe znojne drogi,
Gdzie zastawia szatan sieci,
Gdzie się wszystko blichtrem świeci,
Za rodzinny próg,
Gdzie co krok to wróg,
Dziecino?

Jakże ciebie wieść, hartować?
Jak twą duszę obwarować,
Abyś nigdzie nie zbłądziła,
Abyś matki nie winiła,
Że cię wiodła na ten szlak,
Gdzie tak szczęścia, szczęścia brak.

Jakże ja cię mam uzbroić,
Byś nie chciała marzyć — roić...
Ani pragnąć wśród zwątpienia,
Choć jednego tęcz promienia,
Ani szukać tu aniołów,
Gdzie duch gaśnie wśród popiołów?
Bo życie to łzy,
A marzenia — sny,
Dziecino!

Tęczę złudzeń wiatr rozmiecie,
A aniołów brak na świecie —
Więc na zbroję-ć krzyż dam w rękę,
Byś wpatrzona w Boską mękę,
Nie zbłądziła w pośród dróg,
By twą tarczą był On—Bóg!

S.

MSZA.

...Nie pomogły prośby ani perswazye — ciotka argumentami: „Wiara lud trzyma, więc trzeba mu dawać dobry przykład" — zakończyła naszą dysputę i zadecydowała ,że już czas do kościoła. Rad nie rad usiadłem na przedniej ławeczce powoziku i po dziesięciu minutach znalazłem się w kościele. Roztropna ciotka, bojąc się widocznie, żebym nie zemknął, kazała mi usiąść między nauczycielką a sobą, tak, że zabarykadowany z dwu stron, zdany byłem na łaskę i niełaskę obu tych pań. Usiadłem machinalnie i począłem się przysłuchiwać kazaniu, które właśnie się zaczęło. Znudziło mi się to wkrótcę i zamyślony wpatrzyłem się w ołtarz. Dziwnie! ja w kościele! ja, który zapomniałem przez te sześć lat pobytu zagranicą, jak ołtarz wygląda, ja, który w swojej doktorskiej rozprawie próbowałem dowieść, że religia konieczną i potrzebną jest tylko dla ludów, stojących na bardzo nizkim stopniu kultury i wyraziłem błogą nadzieję, że za kilka wieków ludzkość wyzbędzie się wszelkich tego rodzaju mrzonek....

„Rzekł głupi w sercu swojem: niemasz Boga" — doleciało mię z ambony... Jakie komiczne miny mają ci chłopi — wsłuchani w słowa poczciwego proboszcza, wpatrują się w niego, jak w tęczę i wzdychają, jak kowalskie miechy. Kretyni! wierzą i dobrze im z tem.... Dobrze... żyją, pracują jak woły, i umierają wpatrzeni w przyszłość, w ich mniemaniu szczęśliwą... Oni nie łamią sobie głowy nad tem, co ich czeka z tamtej strony tej nieznanej rzeki, bo wierzą, i to im wystarczy... szczęśliwi! Ci ludzie nie znają zagadek, ani tajemnic w przyrodzie — na wszystko mają odpowiedź: Bóg... Bóg! Nie zaprzeczyłem nigdy istnienia jakiejś siły wyższej, nadprzyrodzonej, ale co ten Bóg za jeden, to było dla mnie dotąd wieczną zagadką. Miałżeby ten chłop o spracowanych, czarnych dłoniach i myśli dziecka być większym filozofem od tylu myślicieli świata? Miałżeby on swą naiwną wiarą rozwiązać to, do czego ludzkość własnym rozumem przez tyle wieków nie doszła? Wiara... dziwny wyraz... a przecież i ja miałem kiedyś wiarę... Miałem... przed laty, pamiętam jak dziś, jeździliśmy z rodzicami do wiejskiego kościółka, skromnego ,ubożuchnego, jak ten, w którym obecnie siedzę; dzieckiem byłem.. .matka brała mię na kolana i dawała do rączki obrazek, żebym nie przeszkadzał jej w modlitwach. Bawiłem się obrazkiem, póki mi się nie znudził, potem ciekawe oczy szły, jak dziś, na ołtarz... Łudzące podobieństwo.. taki sam skromny ołtarzyk, oblany łagodnem światłem świec, tak samo ubrany ksiądz, tylko nasz proboszcz był bielusieńki, jak gołąb... Trącałem matkę w rękę: „Mamusiu, co ksiądz robi?"

— Mszę świętą odprawia, dziecko.

— A co on trzyma w ręku?

— Kielich, moje dziecko. Zmów paciorek i nie przeszkadzaj mamusi.

Zaczynam znów pobożnie „Zdrowaś Marya", ale już po chwili niestrudzona pięcioletnia głowa przyszłego doktora filozofii zaczynała pracować.

— Mamusiu, a czemu ksiądz podnosi ten opłatek do góry?

— To nie opłatek, dziecinko, to Bozia, który się ukrył pod postacią chleba, aby zawsze być z ludźmi i pomagać im.

— To Bozia taki dobry?

— Bardzo dobry — wszystko, co masz, to On ci dał.

— Wszystko? — pytałem zdziwiony — i mamusię i tatusia?

Składałem rączki i patrzyłem z uwielbieniem na tego „małego Bozię", który taki dobry, — a w około huczały organy i grzmiała pieśń „Święty Boże!" Całkiem tak, jak dzisiaj. Tak samo odzywają się organy, tak samo setki piersi wznoszą ku niebu ten błagalny hymn „Święty Boże!" Tylko matki mej niema przy mnie — niema... odeszła w wieczność, odeszła, wpatrzona w krzyż, na którym gasnące już oczy oparła... Tak samo — tak samo, jak wtedy monstrancya pozłocista w rękach kapłana unosi się ponad tłumem, siejąc blaski wokoło... I na ten widok i na to wspomnienie pobożnej, zacnej mojej matki gorąca łza żalu potoczyła mi się po licach... Ach! jak wtedy z tym „Bozią" byłem szczęśliwy, byłem ukojon, byłem błogosławion! Czyż powrót do utraconego raju już dla mnie zagrodzony, już niemożliwy? Nie, nie! Boga nikt mi z serca nie wyrwie, z duszy nie wypleni, w rozumie nie zatrze...

O! jaka prawda głęboka tkwi w jękach pieśni, śpiewanej ochrypłymi głosy tego siermiężnego tłumu:

„Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!"

„Mocny... Nieśmiertelny..." rozbrzmiewa na nowo i w mojej duszy, odmłodzonej, odrodzonej w zetknięciu z tą szarą bracią... I mimowoli osunąłem się na kolana i usta powtarzać zaczęły słowa pieśni: „Jezu przepuść! Jezu wysłuchaj! Jezu zmiłuj się nad nami!"

W. R.

Niniejszy numer jest

przedostatnim

w bieżącym kwartale, więc czas największy zapisywać

„PRACĘ”

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z **Poznania**.

W 26-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 14 wielkich arkuszy „Pracy“ — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie i franko.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę“, każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty tym więcej, że zaraz do pierwszego numeru na nowy kwartał dołączymy

piękne premium,

mianowicie

wielką kolorową mapę historyczną Polski,

która bez zaprzeczenia będzie cennym podarkiem dla Szanownych Czytelników naszych.

Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy“, niech zamówi „Pracę“ na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Już największy czas zapisać

„Czytelnię Polską“

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk. czyli 1 koronę 23 hal.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię“ na nowy kwartał zamieszczone są na osobnej karcie pod okładką.

Numery okazowe „Pracy“ i „Czytelni“ wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Wiadomości.

*— **Portret Ojca św., Piusa X**, w kolorach dołączymy do następnego 39-go numeru t. zw. papieskiego. W numerze tym w dziale illustrowanym damy wiele szczegółów o Piusie X-ym i zamieścimy liczne odpowiednie illustracye.*

Do numeru 40 go z datą 5-go października dołączymy

wielką kolorową mapę historyczną Polski,

która bez zaprzeczenia będzie cennym podarkiem dla Szanownych Czytelników, radzimy więc odnowić przedpłatę na nowy kwartał jak najśpieszniej, aby każdy prenumerator mógł otrzymać bezzwłocznie wzmiankowaną mapę.

— **Dla ofiar w Hucie Laury** nadesłali członkowie Towarzystwa św. Józefa w Bremerhaven za pośrednictwem p. Tomasza Sikory 10 mrk.

Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

— **Z teatru.** Pierwsze przedstawienie w nowym sezonie odbędzie się w sobotę dnia 19 b. m. Składać się na nie będą trzy arcydzieła literatury swojskiej, oraz kilka numerów koncertowych, przez zaszczytnie znaną we Włoszech i Polsce śpiewaczkę, panią Dienheim-Brochocką, angażowaną na tegoroczny sezon przez dyrekcyę.

Afisz inaugurujący na tegoroczny sezon zawiera:

1) „Dwie blizny“, komedyę w 1 akcie Al. hr. Fredry.

2) „Ciotka na wydaniu“, komedyę w 1 akcie Józefa Blizińskiego.

3) „Posażna jedynaczka“, komedyę w 1 akcie Al. hr. Fredry.

W antraktach publiczność usłyszy produkcye pani Brochockiej, która odśpiewa aryę z op. Saint Saensa „Samson i Dalila“, Do...., pieśń Szumana, aryę z „Strasznego dworu“ Moniuszki i „Marzenia dziewczyny“ Żeleńskiego.

Wszelkie informacye, dotyczące sezonu podamy następnie.

Część dochodu z pierwszego przedstawienia dyrekcya przeznacza na powodzian.

— **Fortepiany symetryczne** to najnowszy wynalazek w dziedzinie struktury muzycznej. Opatrzone laskami dźwiękowemi wydają głos tak wspaniały, że choć w mniejszym kształcie największą przenikają salę. Po raz pierwszy wystawiono je na zeszłorocznej wystawie dyseldorfskiej, gdzie najwyższą nagrodą odznaczone zostały. Wyłączne ich skład ma nasz rodak p. **A. Drygas w Poznaniu.**

— **Pan dr. Łazarewicz** otworzy z początkiem października r. b. klinikę dla chorób kobiecych przy ulicy Berlińskiej nr. 19-y I.

— **Fachowiec** poszukuje dzierżawy interesu instalacyjnego. Bliższe szczegóły zamieszczone są w ogłoszeniu.

— **Pan Jan Kazimierz Stokłosiński**, portretowy artysta-malarz, znajduje w kołach znawców tutejszych coraz większe uznanie. Portret pędzla jego, umieszczony na wystawie świadczy najlepiej o twórczości znakomitego artysty. Podobieństwo wystawionego portretu do oryginału jest zadziwiające. Życie tryska z obrazu, każdy szczegół oddany wybornie. Wielka jest ilość portretów, wykonanych przez artystę za granicą. W Gdańsku oprócz wystawionego portretu, wykonał artysta podobizny amerykańskiego konsula generalnego E. A. Classen'a i jego żony, w Bydgoszczy portret dr. Piórka, a w Wrocławiu portret dr. Łasińskiego. — Niezawodnie i u nas niejedna osoba, pragnąca posiąść własny portret znakomitego pędzla, skorzysta ze sposobności, żeby u p. Stokłosińskiego zrobić zamówienie.

— **Ślub posła Korfantego.** Z Krakowa donoszą: Ks. biskup Pelczar, powaga w zakresie prawa kanonicznego, do którego odwołał się poseł Korfanty, orzekł, iż w sprawie ślubu nie istnieje już żadna przeszkoda kanoniczna. Wynika z tego, że odmówienie ślubu ze strony ks. kardynała Puzyny sprzeciwia się przepisom kościelnym. Interesującą odpowiedź otrzymał poseł Korfanty na swe pisemne zażalenie do sądu małżeńskiego przy konsystorzu wrocławskim. W odpowiedzi tej, podpisanej rów-

nież w imieniu sądu małżeńskiego przez kardynała Koppa, powiedziano mu, że „jeźli zażalającemu się (p. Korfantemu) zależy wogóle na ślubie kościelnym, powinien porozumieć się co do tego z proboszczem parafii śląskiej, który mu ślubu odmówił, co do nałożonej na niego (p. Korfantego) pokuty.“ Tą „pokutą“ miało być odwołanie ataków „Górnoślązaka“ na księży germanizatorów i zaprzestanie ich w przyszłości. Sprawa ta znajdowała się ostatnio w ręku nuncyusza papieskiego w Monachium, który dał p. K. także odmowną odpowiedź. Wobec tego nie pozostaje p. K. nic innego, jak udać się do Rzymu, aby szukać tam sprawiedliwości na postępowanie ks. kardynała Koppa.

— **Września.** Dr. Karol Lewandowski z Krakowa, syn włościanina Karola Lewandowskiego z Radomierza z W. Ks. Poznańskiego, ukończył gimnazyum św. Anny w Krakowie. Następnie ukończył prawo i praktykę w Krakowie. Otwiera kancelaryę adwokacką w Krakowie.

Jednocześnie donoszę, że p. Czesław Lewandowski z Inowrocławia, syn p. Karola Lewandowskiego z Radomierza, nabył drogą kupna drogeryę pod firmą F. Kurowski następca w Inowrocławiu. Szczęść Boże nowemu nabywcy.

— **Dar dla Konopnickiej.** Z Jasła donoszą do „Czasu“: Wczoraj w południe oddano Maryi Konopnickiej dwór w Żarnowcu, zakupiony ze składek publicznych. Kilkaset osób oczekiwało przybycia Konopnickiej na stacyi Jedlicze. Zebrany był licznie lud okoliczny, nauczycielstwo, młodzież szkolna z Jasła i Krosna, oraz obywatelstwo. Po nadejściu pociągu powitał Konopnicką poseł Stapiński, jubilatka odpowiedziała, poczem znaczna część przybyłych udała się podwodami do dworu. — W Żarnowcu powitał Konopnicką wójt tamtejszy na czele reprezentacyi gminnej. Akt własności wręczyła Konopnickiej imieniem komitetu lwowskiego p. Wechslerowa; imieniem ludu przemawiał Bojko. Konopnicka dziękowała ze wzruszeniem. Spędzi ona prawdopodobnie w Żarnowcu całą zimę.

— **Strzelno**, d. 7. 9. 03. Cieszymy się, iż w tutejszym zakładzie p. Szudy, pomimo stawianych panu Szudzie trudności i okazywanej nieżyczliwości, coraz więcej okazuje się pomoc i błogosławieństwo Boże, tak że za kierownictwem pana Szudy i przez jego roztropne urządzenie zakładu i zaopatrzenie w odpowiednie maszyny możemy wyrabiać cegłę w rozmaitych gatunkach, a przedewszystkiem dachówkę nadzwyczajnej dobroci, że można powiedzieć, iż zaczyna być poszukiwana dla swej dobroci. Jeszcze więcej nas ucieszyło, gdy przy kopaniu studni do drenowania odkrył p. Szuda pokład gliny kilkometrowej głębokości nadzwyczajnej dobroci, co nas bardzo raduje, że zarobek nasz na dłuższe lata zdaje się być zabezpieczony. Dałby Bóg, aby kierownictwo cegielni jak najdłużej w rękach pana Szudy pozostało.

Jeden za wszystkich robotników, pracujących w parowej cegielni pana Szudy w Strzelnie.

— **Znin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu:

Pp. J. Brzeski z Krotoszyna 10 m., X. dziekan Gajowiecki z Chodzieża, X. prob. Łabendziński z Tuczna i F. Pankowski z Godaw po 3 m., A. Jacek z Dochanowa 4 m., X. prob. Jaśkowski z Dziekanowic i H. Balcerzak z Jaroszewa po 2 m., F. Michalski z Przyborowa p. Bojanowo, H. Thomas z Żabikowa, X. prob. Jastrzębski z Liszkowa po 5 m., zebrane przez A. Piątkowskiego na weselu u F. Macioszka w Kobylnicy p. Mieleszynem 3 m.

„Bóg zapłać!“ Dla oszczędzenia portoryum zaleca się, żeby w każdej miejscowości osoba mająca zaufanie zebrała składkę i przysłała ją na moje ręce. Każdy składkujący otrzyma piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej i broszurkę z obszernym opisem miasta Żnina.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *Ludwika Lewandowska* dnia 5-go b. m. w Wörishofen w Bawaryi. Pogrzeb odbył się dnia 9-go b. m. w Potulicach.

† Ś. p. *Józef Witkowski* dnia 11-go b. m. w Biskupinie pod Gąsawą. Pogrzeb odbył się dnia 13-go b. m. w Wenecyi (w Poznańsk...)

† Ś. p. *Władysław Bilich* dnia 12-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 53 lata. Nieboszczyk pracował w „Weście“, Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu, od swego zawiązku tej instytucyi jako korespondent, a od 5 lat jako jej skarbnik.

Od Redakcyi.

Wszystkich Przyjaciół naszego pisma, którzy nam przysłali korespondencye dotychczas nie zamieszczone, przepraszamy za zwłokę. Korespondencyi nie mogliśmy zamieścić dla braku miejsca, ale wszystkie ogłosimy kolejno.

Studiosus. — Rzecz nie najgorsza, ale dla „Pracy“ niestósowna. Przedewszystkiem radzimy Panu, abyś się pilnie uczył gramatyki, mianowicie zapoznał się dokładnie z ortografią. Nie pisze się „przyżekam“, „ujżałem“, lecz „*przyrzekam*“, „*ujrzałem*“, o czem wie nawet „ośmioletnia, piskliwa Kazia,“ o której Pan piszesz.

Jednemu za wielu z Poznania. — Wystąp Pan z otwartą przyłbicą, a chętnie zamieścimy. Notatek bez podpisu nie ogłaszamy.

Towarzystwu „Lutnia“ w Poznaniu. Notatka o zeszłotygodniowej herbatce doszła nas za późno już po wydrukowaniu numeru na dzień 13-go b. m., zatem nie mogliśmy zamieścić.

Czytelnikowi z Grzebieniska. — Specyalistą w chorobach uszu, nosa i gardła jest p. dr. Bolewski w Poznaniu, przy św. Marcinie 58 zamieszkały.

Towarzystwu gimn. „Sokół“ w Gostyniu. — Notatkę o zeszłotygodniowej zabawie odebraliśmy już po wydrukowaniu numeru na dzień 13-go b. m., dlatego nie mogliśmy ogłosić.

Pani A. W. w Gnieźnie. — O ile nasze informacye sięgają zakład taki nie istnieje. Możeby Szanowną Panią poinformował w tej sprawie miejscowy dentysta?

W 32-gim zeszycie

„Czytelni Polskiej“

rozpoczęliśmy druk jednej z najlepszych i najpiękniejszych powieści znakomitego literata i komedyopisarza ś. p. Michała Bałuckiego p. t.

„Biały murzyn.“

W powieści powyższej opisuje autor z niezwykłym darem obserwacyjnym stosunki galicyjskie, uwypukla wybornie charaktery, opowiada zajmująco i doskonale, słowem powieść

„Biały murzyn“

jest od początku do końca bardzo interesująca i owiana prawdziwym duchem swojskim, czysto polskim. Powieść tę każdy czytać będzie z wielkiem zaciekawieniem.

Początek powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej, rzeczywiście bardzo pięknej powieści, zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 38 „Czytelni Polskiej.“

Kwity na „Czytelnię“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.

Zaległe numery musi dostarczyć każda poczta na żądanie.

Wiarusy!

Abonujcie „Pracę“.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULCAN“
I F. J. Komendziński w Droźnie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar.

Dział kobiecy.



Kobiety w polityce.

Starą jak świat jest historya oszukiwanych mężów, królów wodzonych przez kobiety za nos. We własnej winie mężczyzn, w ich słabości leżała przyczyna nieszczęścia, jakie na nich kobiety sprowadzały, i zależnie od tego, jak się na te historye zapatrujemy, stają się one tragedyami lub komedyami.

Tragedye narodów i dynastyi powstały z tych, prawie komicznych słabości możnych, i zgubną była zawsze rola, jaką kobieta swemi wdzięki, pragnieniem władzy i pychą odgrywała.

Aż do legendowych czasów sięga ta rola kobiety, polegająca na stwarzaniu tragedyi z miłosnych słabości mężczyzn. Medea z Kolchidy, piękna Helena Greków, zemsta Brunhildy na Zygfrydzie i krwawy los Nibelungów wystawiają w podaniach ludowych kobietę jako bodźca do walk i wojen. Tylko jedno prastare rzymskie podanie wymienia dobroczynną postać kobiecą, która mądrego króla Numę Pompiliusza nową obdarzała mądrością. Ale Egeria była nimfą, a nie namiętną córą Ewy.

Przez historyę stwierdzone następczynie jej w krwawych dziejach Rzymu, Kleopatra, urocza towarzyszka wojen i śmierci Antoniusza, Messalina, straszna żona cezara Klaudiusza, o niebo całe oddaliły się od dobrej sławy Egeryi. Po grozie wędrówki narodów polityka przez długi czas pozostawała wolną od zwodniczego wpływu kobiet. Kościół z powodzeniem wygłosił prawo: „Taceat mulier in ecclesia.“ (W kościele kobieta ma milczeć.) Co też nie nabroiły kobiety za czasów Merowingów, ale żadnej wojny nie były w stanie rozdmuchać. Dopiero z początkiem odrodzenia polityczna kobieta staje się znów straszną. We Włoszech piękna zbrodniarka Lukrecya Borgia, we Francyi Katarzyna Medycejska, twórczyni nocy św. Bartłomieja.

W okresie przejścia do nowych czasów przypada jedyna w swoim rodzaju postać niepokonanego króla Sinobrodego, dostępnego dla wszelkich powabów niewieścich, a nie poddającego się jednak wpływom żadnej kobiety, króla angielskiego Henryka VIII. Z sześciu żon tego nienasyconego człowieka, dwie tylko skończyły jako prawowite małżonki: Joanna Seymour, która go obdarzyła synem, późniejszym królem Edwardem VI i przy tem rozwiązaniu zmarła, i Katarzyna Parr, która go jako wdowa przeżyła. Z dwoma swemi małżonkami, Katarzyną Aragońską i Anną Cleve, rozwiódł się. Dwie z najpiękniejszych żon, które nawet kochał, Annę Boleyn i Katarzynę Howard, oddał w ręce kata. Henryk VIII dla kobiet uprawiał politykę; dla wdzięków Anny Boleyn odłączył się od rzymskiego kościoła, który nie zgadzał się na jego rozwód. Ale na politykę tego króla żadna kobieta nie miała wpływu.

Inaczej we Francyi! Wytworny Henryk VI uprawiał miłość, jako rozrywkę, obok rządów i polityki. Ale już za jego wnuka, Ludwika XIV, zaczyna się panowanie kobiety w polityce od udającej skromność markizy de Maintenon, która nakłoniła go do zniesienia edyktu Nantejskiego i następnie do wypędzenia z Francyi Hugonotów. To panowanie kobiet zgubnie zaznaczyło się wewnątrz i zewnątrz kraju za regencyi i panowania Ludwika XV i dosięgło zenitu przy królewskiem prawie stanowisku pani de Pompadour. Ta komedya tej „pierwszej damy dworu królowej‘‘ we francuzkiej rewolucyi przeszła w tragedyę i królowa Marya Antonina na szafocie głową swą zapłaciła za krwawe czyny kurtyzanek, które przedtem tron Francyi zbezcześciły.

Z naszej historyi dosyć przypomnieć smutnej pamięci królowę Bonę i łagodną, ale przebiegłą Esterę, która otworzyła wrota Polski żydom.

A ze świeższych czasów! Czyż Austrya utratą nadziei, pokładanych w wysoce uzdolnionym i szczerze popularnym arcyksięciu Rudolfie, nie opłaciła miłości swego następcy tronu ku Vecserze?

n.

Katarzyna Arnanduda.

Na ustach wszystkich powstańców i zwolenników ruchu powstańczego w Macedonii znajduje się teraz nazwisko młodej wieśniaczki macedońskiej Katarzyny Arnanduda.

I nic dziwnego, gdyż Katarzyna zasłynęła w ostatnich czasach, jako jeden z najodważniejszych, najwytrwalszych i najzuchwalszych dowódzców oddziałów powstańczych.

Urodzona w Newrokopie, była prostą pastuszką kóz. Słysząc o gwałtach, dokonywanych przez żołnierzy tureckich i mieszkańców Mahometa na ludności chrześciańskiej, porwana przykładem braci i krewnych, którzy chwycili za broń przeciwko odwiecznemu a niemiłosiernemu wrogowi, postanowiła przyłączyć się do powstańców.

Zrzuciła suknie kobiece, przywdziała odzież brata, zarzuciła na ramię karabin i wstąpiła do oddziału słynnego Duczy.

Odtąd widziano ją zawsze wśród walczących w pierwszym szeregu, gardzącą największem niebezpieczeństwem i dającą przykład nieustraszonego męstwa i żelaznej wytrwałości. Sława jej tak prędko rozeszła się po objętych pożogą powstania miejscowościach, że kilka oddziałów połączonych wysłało do niej deputacyę z prośbą, by stanęła na ich czele. Po długiem wahaniu się bohaterska dziewczyna przyjęła ofiarowane jej dowództwo i wkrótce oddział jej dał się we znaki wojskom tureckim.

Władze tureckie nałożyły wielką cenę na głowę walecznej bojownicy wiary i wolności.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Zyskowna hodowla.

Niedawno utrzymywano we Francyi, że człowiek inteligentny może bez wszelkich wysiłków mieć rocznie trzy tysiące franków z hodowli królików. Mimo to hodowla ta nie okazała się tak intratną, jak o niej opowiadano i obecnie jest w upadku . Króliki wyszły z mody obecnie, zaś kot stał się zwierzęciem przyszłości.

Naturalnie mowa tu nie o kotach jadalnych. Ten rodzaj hodowli, kwitnący w Mandżuryi, nie jest zaniechany i w wielkich miastach starej Europy, gdzie próbują go niektórzy restauratorowie — lecz nie doprowadza do majątku. Chcąc mieć znaczne zyski, należy hodować koty zbytkowe i sprzedawać je drogo amatorom kociej rasy.

Jednej ze współpracowniczek czasopisma „Sylvia's Journal", pani Strutt Carell, poruczono, by przekonała się, jakie zyski może przynosić podobna spekulacya. Pani Strutt Carell zwiedziła najsławniejsze stada kotów w okolicach Londynu i stwierdziła, iż pewien zwykły amator ma z hodowli kotów siedm tysięcy franków zysku co dwa lata.

Osobistość ta nie nosi nazwiska głośnego w świecie hodowców kotów i posiada bardzo małą liczbę reproduktorów. Należy wszakże przyznać, iż są to zwierzęta rasowe, które otrzymywały nagrody na konkursach.

Gdyby zamiast szukać w tem zatrudnieniu przyjemności i zadowolenia miłości własnej, człowiek ten, posiadający wrodzone powołanie do ulepszenia kociej rasy, nie żałował wydatków na postawienie wzorowego zakładu i sprowadził z najdalszych stron rzadkie okazy kotów, w krótkim czasie doszedłby prawdopodobnie do olbrzymiego majątku.

Nie należy mniemać, że hodowla kotów należy do przedsiębiorstw zupełnie nowych. Najskromniejsi hodowcy muszą zwalczać nie mało trudności, jeżeli pragną w porę zaopatrywać się w okazy, odpowiadające wymaganiom publiczności. Stare rasy europejskie wyszły z mody, podobnie jak i angora. Anglicy żądają teraz wyłącznie kotów egzotycznych. Płacąc na wagę gwinei koty, sprowadzane kolejno z Abisynii, Indyj, Chin i Japonii, obecnie cały swój entuzyazm zwrócili do kotów z Persyi, Syamu i Malakki.

Wiadomo, że genealogia kotów domowych dała powód do zaciętych sporów.

Według zdania bardzo rozpowszechnionego pomiędzy dawnymi naturalistami, ten czujny stróż, broniący nas dziś od napadu armii szczurów i myszy, był niegdyś poprostu bandytą, który zmienił się w żandarma dla miłości życia spokojnego i zabezpieczenia sobie wygodnej egzystencyi.

Innemi słowy, kot dziki, żyjący za dawnych czasów w Europie i spotykany dziś jeszcze w niektórych okolicach Szwajcaryi i w lasach Turyngii, powoli przyzwyczajał się do widoku człowieka i w końcu oswoił się zupełnie.

Uczone wywody, jakie przedstawiła pewna współpracowniczka pisma angielskiego „Century Magazine", z powodu poszukiwań w Boubartis, na sławnym cmentarzu kotów, czczonych przez Egipcyan, całkowicie zbiły przytoczoną wyżej hypotezę. Dziś nie ulega już wątpliwości, że koty, zaprowadzone w Egipcie przez mężnych królów dwunastej dynastyi, należały do rasy felis maniculata, egzystującej dotąd w stanie dzikim w Sudanie i Nubii.

Z tego wynika, iż w tych okolicach należy szukać przodków kota oswojonego przez poddanych Faraonów. Koty te rozmnożyły się następnie na wschodzie Persyi, wreszcie w Grecyi i w całej Europie.

Kot abisyński zachował lepiej cechy pierwotne, niż jego koledzy, rozpierzchnięci na całej kuli ziemskiej i zmienieni bardzo pod wpływem warunków klimatu i żywności.

Persya jest uprzywilejowanym krajem kotów. Okazy rasy perskiej odznaczają się nietylko gracyą poruszeń, pełnością form i bogactwem futra, lecz nadto nadają się do wszelkiego rodzaju krzyżowań. Pani Bullar, której czterdzieści dziewięć kotów figurowało zaszczytnie na wszystkich konkursach, urządzonych w Anglii w ciągu ostatniego roku, usiłuje obecnie wyhodować koty perskie koloru pomarańczowego.

Koty perskie czarne, z odcieniem niebieskawym, są niemniej cenione od Persów pomarańczowych, a nawet na ostatnim konkursie kotów odniosły zwycięztwo. Prześliczny okaz tego koloru, należący do pani Herin, otrzymał medal i puhar, najwyższą nagrodę, jaką dotychczas obdarzono kota.

Kaprysy mody, zwracając się ku wschodowi, nie zatrzymują się w połowie drogi. Nawet reputacya kotów perskich w ostatnich czasach cokolwiek została skompromitowana i na widowni ukazuje się kot syamski, który między innemi ma tę zasługę, że jest rzadki i kosztuje bardzo dużo.

Każdy z potomków, który wydała na świat sławna kotka, królową Rheą zwana, oceniany jest na 500 fr.

Wspracowniczka „Sylvia's Journal" miała sposobność oglądać te cenne kocięta, wychowane we flaneli. Mają one oczy niebieskie, nozdrza czekoladowe i szerść kremową. Ich genealogia jest w porządku. Są to potomkowie sławnego Tianu, który ujrzał światło w Bangkok i sprowadzony został następnie do Anglii.

Jak Syamczycy zwyciężyli Persów, tak z kolei koty malajskie otrzymują pierwszeństwo przed syamskiemi z tej racyi, iż pochodzą z. dalszych krajów. Te koty przyszłości są czarne, jakby były wyrzeźbione z hebanu. Ze swą szerścią krótką i błyszczącą przypominają małe pantery z Jawy.

Gdy lady Courbail wysłała na konkurs te koty, nie mające równych sobie, powitał je powszechny okrzyk podziwu i od tej pory stały się sławne na całej przestrzeni królestw Wielkiej Brytanii.

Ponieważ wszystkie medale mają strony odwrotne, więc mają je i medale, otrzymane na konkursach kotów. Błędnem byłoby mniemanie, że samemi różami usłana jest droga hodowców kotów. Niema zawodu, który wymagałby więcej starań, więcej czujności i który w wielu razach narażałby na większe zawody.

Pupile pani Buller i pani Herring wymagają wielkiej pieczołowitości. Należy dbać, by miały zawsze ciepłe mleko, świeże mięso, ryby duszone w ryżu i biszkopty. Wszystkie starania nie zapobiegają jednak licznym chorobom. Influenza, bronchitis, zapalenie uszów i paraliż co rok gubią najlepsze okazy z pośród wychowańców pań Buller i Hering.

Rasy z krajów ciepłych z trudnością znoszą dżdżysty klimat angielski. Sławny kot syamski, wystawiony przez czas krótki na przeciąg powietrza w pałacu kryształowym, gdzie go podziwiała publiczność, tegoż samego dnia zdechł z przeziębienia.

Z. W.

Dodatek Humorystyczny.

List „administratora“ do właściciela domu.

„Przedewszystkiem życzę zdrowia szanownemu panu gospodarzowi, jego całej rodzinie, a nawet psu Bukietowi. Sz. pana może dziwi, że wyrażam moją życzliwość i dla psa, lecz z chwilą, gdy biedne psiska są ustawicznie w udręczeniu, muszą mieć kagańce na pyskach i być prowadzone na linkach, aby się nie dostać w ręce oprawcy, sądzę, że i w tej mierze trzeba mieć współczucie i dla psów.

A teraz donoszę, że suteryna, którą zajmował handlarz, Icek Atrament, stoi obecnie pustkami.

Atrament splamił swoje sumienie sprzedażą cukierków, w których — jak wykazały analizy — znajdowała się domieszka mąki kartoflanej.

Lekarze podłość Atramenta przyjęli z oburzeniem i wytoczyli mu proces, zakończony dla niego „kozą.“

Serce się ściska, gdy pomyślimy, do jak nizkich sposobów uciekają się handlujący artykułami spożywczemi. Nic ich nie obchodzi zdrowie publiczne, bo proszę sobie wyobrazić, co musi się dziać w żołądku osoby, po spożyciu cukierka, spartolonego z cukru zmięszanego z mączką.

To mieszkanie na parterze, złożone z trzech pokojów i kuchni, udało mi się nareszcie wynająć.

Wilgoć bardzo zręcznie zamaskowałem nową tapetą, która prawdopodobnie nie zbutwieje, aż do nowego roku. Wynajął mieszkanie człowiek cierpiący na reumatyzm, ze stawami spuchniętemi jak karmelicka bania.

Ja oczywiście dawałem mu słowo honoru, że mieszkanie jest tak suchem, iż pustynia Sahara mogłaby się od niego nauczyć suchości.

Kontrakt roczny został podpisany, więc cóż nam zrobi nowy lokator? Komisyi sanitarnej nie wezwie, ponieważ ma opuchłe nogi i wcale nie może chodzić.

Upraszam o zawiadomienie, jak postąpić z Ickiem Atramentem, gdy powróci z kozy. Aż się dusza wzdryga gdy pomyślę, że mógłby zostać i że tym sposobem, ja, człowiek nieskazitelny, byłbym zmuszony mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, który się splamił fałszowaniem cukierków.

Z poważaniem i plenipotencyą
Makary Bolibok.“

Mazurek.

W takt podkówki hej mazurek!
Miał tatunio aż pięć córek:
Jedna ciemna,
Druga biała ,
Trzecia pięknie
Rysowała,
Czwarta śpiewa,
A gra piąta —
Wszystkie społem
Krzyczą z kąta:
— Niechże mężów da nam tata,
Wiek z wdziękami wszak ulata!
Brzęknął tata więc portmoną,
Chłopców się gromadzi grono:
Jeden niski,
Drugi kusy,
Trzeci wdzięczne
Robi susy.
Czwarty gnie się,
A zaś piąty
Niby wyżeł
Węszy kąty.
Wszyscy pieją jednym głosem:
— Trza się przedtem poznać z trzosem!
Co zoczywszy mądry tata
Z domu chciwców tych wymiata
I to rzeknie:
— Na nic życie
Rzecz zważywszy
Należycie,
Lepsza dola
Starej panny,
Niż niepokój
Nieustanny.
Boć fałszywa rola żony
Gdy na targu mąż kupiony!

Pani wraca już.

Tuliła ją wiejska chatka
W pośród łąk i pól;
Wszystko tedy szło, jak z płatka:
Czuł się w domu — rzecz dość rzadka,
Niby pan i król!

Mógł się wprawdzie w każde święto
Rozkoszować wsią,
Duszą, srodze strachem zdjętą,
Liczbą paczek niepojętą
Czcić żoneczkę swą.

Ale kiedy poza błonie
Krył się słońca krąg,
Pan małżonek już w wagonie
Niecierpliwie drży i płonie:
Dość ma pól i łąk!

Wraca wdowiec więc słomiany
Do tych miejskich bram;
Ciągnie go tu czar nieznany:
Hen! Gdzie żona... pola... łany...
A on wraca — sam!

Oczy błyszczą mu wspaniale,
Snuje marzeń nić...
Życie kipi w uciech szale,
Płyny pienią się w krysztale,
Rozkosz każe śnić!

Więc używaj, co się zmieści
Wiodąc żywot z róż;
Lecz, gdy los go słodko pieści,
Otrzymuje straszne wieści:
Pani wraca już!

Lica dziwnie mu się chmurzą,
Jakby trafił szlag,
Dziwne lęki serce durzą,
Pragnie skryć się, jak przed burzą
Wylękniony ptak,

I obleka postać własną
W niewolniczy strój,
Znów mu będzie strasznie ciasno
Za swobody chwilkę jasną,
Za tych wspomnień — rój!

Znów niewola ciężko rani,
Lecz, gdy w męce tkwi —
Śle mu los pociechę w dani:
Wszakże za rok jego pani
Też zapragnie — wsi!

Przyczyna.

— Synu, cóż cię skłoniło do ożenienia się z panną starą, brzydką, a przytem ogołoconą z majątku?

— Mój ojcze, zapisałem się na członka towarzystwa konserwacyi ruin.

Młodziutki kandydat na śpiewaka (do krytyka:)

— No, jakże, przyznasz pan chyba, że posiadam materyał na dużego artystę!

Krytyk:

— Niewątpliwie, za parę lat urośnie pan jeszcze z kilka cali!



Dział powieściowy.

(Przedruk wzbroniony).

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

(Ciąg dalszy.)

Wolf myślał, że z krzesła spadnie. Zamiast starego, garbionego nauczyciela muzyki, bo tak musiał podług jego zdania każdy nauczyciel wyglądać, ukazał się młody, bardzo piękny oficer!

— Jestem Franciszek Wessely! — rzekł, kłaniając się. — Przychodzę na wezwanie pana!

— Na moje — wezwanie? — wyjąkał Wolf. — I pan chcesz dawać lekcye muzyki za guldena?

— Tak jest, i pojmuję zdumienie pana! Towarzysze moi śmieliby się, gdyby o tem słyszeli! Wyznam panu otwarcie, że chociaż jestem oficerem, nie posiadam niestety, żadnego majątku! Jestem biedny, lecz dzięki lekcyom, jakie udzielam, mam dobry dochód poboczny. Daję lekcye w językach i matematyce, i cieszyłbym się bardzo, gdybyś mi pan pozwolił udzielać córce swej lekcyi na fortepianie!

— On jest za młody, — myślał Wolf, — za młody i za piękny, i ten mundur..... Ale Hanusia jest rozsądna — nie zakocha się w nauczycielu muzyki, a przecież ten najtańszy!

I Franciszek został przyjętym.

Odtąd przychodził cztery razy tygodniowo do domu dawniejszego kamerdynera. Z początku nie wychodził Wolf z pokoju podczas lekcyi. Bardzo mu się podobał sposób, w jaki Wessely uczył Hanusię, jego delikatność, grzeczność i szacunek względem dziewczęcia. Hanusia zwracała całą uwagę na fortepian, nie podnosiła oczu z nut i nie mówiła ani słowa, nie mającego styczności z lekcyą.

Ale potem znudziły go ciągłe gamy i ćwiczenia i wolał iść do szafy, i brząkając złotem, słuchać tego dźwięku, niż gry na fortepianie. Zdarzyło się też, że bank jakiś, w którym miał kilka tysięcy guldenów, groził upadkiem — trzeba więc było zebrać wszystkie siły umysłowe, aby niebezpieczeństwa tego uniknąć.

I teraz zostawali Franciszek i Hanusia zawsze sam na sam w salonie.

Jakiś poeta powiedział, że z wszystkich mężczyzn najniebezpieczniejszym dla młodych dziewcząt jest: nauczyciel muzyki. Uczennice i nauczyciel zbliżają się do siebie, ich ręce spotykają się — potem — usta.

I oboje marzą o ideałach — o miłości. — —

To samo stało się z Hanusią i Franciszkiem, chociaż młody oficer starał się przytłumić budzące się w sercu uczucie i ciężkie z sobą staczał walki. Uważał to za nieuczciwość z swej strony, aby korzystać z nieobecności ojca, rozpoczynać stosunek miłosny z córką. Było to nadużyciem zaufania — ale cóż pomogą wszelkie rozumowania, jeżeli miłość, ta wszechwladna pani, serce opanuje!

Gdy Franciszek spojrzał w modre oczęta Hanusi, gdy słyszał jej dźwięczny głos — zapominał o wszystkiem na świecie, i myślał tylko o tem, jak okazać jej swoje bezgraniczne uwielbienie!

A Hanusia?

Nie poznała ona nigdy jeszcze dotychczas miłości, ledwie nawet słyszała o niej, i nie wiedziała, że można pokochać z taką namiętnością i siłą! Świat cały przestawał istnieć dla niej gdy widziała ukochanego, na skinienie jego rzuciłaby się z rozkoszą w ogień rzuciła i życie oddała dla niego. Że miłość była jej dotąd nieznaną, dlatego właśnie zagarnęła ją potęga, przed którą wszystko inne ustępować musiało.

Pokochała ona Franciszka już od pierwszej chwili, w której go ujrzała, i całe jej życie koncentrowało się tylko w tych czterech godzinach, w których go widziała. Po za tem chodziła jak we śnie, zamyślona, rozmarzona, licząc minuty nieomal do przyszłej lekcyi.

Długo jednak trwało, zanim dwoje tych zakochanych wyznało sobie miłość.

Franciszek drżał na myśl, że wyznanie to będzie zarazem końcem jego szczęścia, Hanusia zaś nie mogła mu pierwsza powiedzieć, że go kocha.

Pewnego dnia, gdy grała jakieś trudne ćwiczenie, uczuła nagle rękę Franciszka na swej dłoni.

— Nie dobrze grałam? — szepnęła cicho, sądząc, że on chce ją poprawić.

Ale Franciszek ujął jej rękę i do ust ją przycisnął.

— Co pan robisz, panie Wessely! — zawołała Hanusia, a serce jej uderzyło szczęściem niezmiernem.

— Nie lękaj się pani, — odrzekł Wessely, — dziś jeszcze wyznam wszystko twemu ojcu — powiem mu, że kocham cię nad życie i że ty — także mnie kochasz. Wszakże się nie mylę?

Zamiast odpowiedzieć, rzuciła się Hanusia w objęcia Franciszka i gorący pocałunek potwierdził ich miłość wzajemną.

— Co ojciec powie! — szepnęła nagle Hanusia przestraszona i wysunęła się z objęć ukochanego.

— Niech mówi co chce, ja zdobędę sobie twoją rękę! Chociażbym nie tylko z nim, ale z całym światem miał walczyć o ciebie! — zawołał Franciszek z zapałem.

— Ach, ja się tak boję!

— Nie lękaj się, najdroższa! Powiedz mi raczej, czy mnie kochasz — bardzo?

— O, nad życie!

— I zgadzasz się na to, że dziś jeszcze wyznamy mu naszą miłość?

— Tak! Ale ojciec....

— Nie myśl teraz o tem! — szepnął Franciszek, przyciskając Hanusię do serca, — myśl lepiej o wielkiem szczęściu naszem! Ja z ojcem rozmówię się.

— I to zaraz! — odezwał się z progu głos Wolfa.

Hanusia krzyknęła i ukryła głowę na piersi ukochanego.

— Co to znaczy — krzyknął teraz Wolf, przystępując bliżej. Twarz jego wykrzywiła się strasznym gniewem a oczy złowrogo błyszczały.

— Tak mi pan odpłacasz za zaufanie, jakie w tobie pokładałem, — krzyczał, zwracając się do Franciszka — korzystałeś z naiwności niedoświadczonej dziewczyny i zawróciłeś jej głowę. Ale to szaleństwo, szaleństwo, bo pan nigdy zięciem moim być nie możesz. Czy masz tyle, aby utrzymać żonę?

— Posłuchaj mnie pan — odezwał się Franciszek, ale Wolf przerwał mu natychmiast:

— Nie, nie, myślisz pewnie, że jeżeli ja mam pieniądze, to już wystarcza! Wierzę, że chciałbyś się ożenić z Hanusią, mieszkać w swoim domu i używać mego majątku! Mylisz się jednak! Córka moja wyjdzie za mąż tylko za człowieka bogatego!

— Którego kochać nie będzie! Bo ona mnie kocha i z żadnym innym szczęśliwą być nie może!

— Głupstwo, bogatego człowieka zawsze się kocha! Kto mówi że tak nie jest, ten nie zna świata i ludzi! A zresztą ja z panem nie mam nic do czynienia. Lekcje skończyły się raz na zawsze. Żegnam pana!

I Wolf wskazał na drzwi.

— Nie odchódź, o nie odchódź! — zawołała Hanusia, chwytając ręce Franciszka. — Nie opuszczaj mnie!

— Co ty mówisz? — krzyknął Wolf w najwyższem uniesieniu.

— Ach ojcze — rzekła ze łzami w oczach dziewczyna — ja go tak kocham! Byłam dotąd biedna i dziś znowu

chcę biedną być, zapomnę o dniach, jakie przeżyłam w tym domu, ale chcę z nim żyć i umierać, znosić z nim nędzę i głód! To dla mnie najwyższe szczęście!

— Więc chciałabyś mnie opuścić dla kogoś tam obcego?

— On mi nie jest obcym, ojcze! Bo ja kocham go umrę, jeżeli mnie z nim rozłączysz!

Wolf zadrżał.

Przyszło mu na myśl, że gwałtownością i gniewem nie da się tu nic zrobić, postanowił więc innego użyć środka. Czemu nie iść [illegible] drogami, jeżeli prosta nie wiedzie do celu?

Wypogodził więc twarz, i rzekł łagodnie biorąc rękę Hanusi:

— Pójdź do mnie, moje dziecko! Powiedz mi teraz szczerze: kochasz go bardzo?

— Tak ojcze, więcej niż życie!

— Ale musisz uznać, że jako prosty oficer żenić się z tobą nie może! Z czego chcesz żyć? Bo ja uważam pana Wessely za człowieka zbyt uczciwego i szlachetnego, aby go podejrzewać o to, że chce żyć z majątku żony.

— Nigdy! — zawołał Franciszek — nigdy bym tego nie uczynił! Ale znajdę przecież jakiś sposób lepszego utrzymania i będę pracował dniem i nocą, aby zaślubić moją Hanusię, jeżeli pan zechcesz nam dać swoje błogosławieństwo!

— Oho, tak daleko nie jesteśmy jeszcze. Związkowi waszemu nie opieram się — pan jesteś szlachcicem, wykształconym — szukaj więc jakiego zajęcia, któreby ci przyszłość zapewniło. Potem pomówimy dalej o tej sprawie.

— Ojcze! — szepnęła Hanusia składając ręce — czemu wystawiasz nas na takie czekanie!

— Nie zmieniam mego postanowienia ani na włos! Dopóki pan nie jesteś samodzielnym dopóki nie będziesz miał domu, do którego mógłbyś wprowadzić Hanusię, dopóty proszę u nas nie bywać! Zakażę wam się także widywać na trzeciem miejscu bez mej wiedzy! Gdyby się to kiedykolwiek miało zdarzyć, wtedy staję się waszym przeciwnikiem i nie wdaję się w żadne układy.

Co miał Franciszek uczynić pod temi warunkami? Musiał przyrzec srogiemu ojcu, że nie będzie się starał o zobaczenie Hanusi dopóty, dopóki nie będzie jej mógł zapewnić bytu i uzyskał tyle jeszcze od Wolfa, że wolno mu pożegnać Hanusię bez świadków na bardzo, bardzo długo!

— Ach, czemu przystałeś na żądanie ojca — wołała dziewczyna, zalewając się gorzkiemi łzami — jakże ja mam żyć, nie widząc ciebie!

— Nie pozostaje nam przecież nic innego, jak zgodzić się na jego życzenie — odrzekł Franciszek smutnie. — Ale bądź spokojną, najdroższa, ja się postaram o jakie miejsce i mam nadzieję, że wkrótce nazwę cię moją. Będziesz czekać na mnie? Dochowasz mi wierności?

— Aż do śmierci! — zawołała Hanusia podnosząc uroczyście rękę jak do przysięgi.

Potem jeszcze jeden uścisk, ostatni pocałunek i narzeczeni musieli się rozstać.

Tego samego dnia zrobił Wessely podanie o zwolnienie go ze służby wojskowej.

Nie łatwo mu było pożegnać mundur — był on z zamiłowania żołnierzem, ale zostając przy wojsku byłby musiał czekać kilkanaście lat, zanim byłby mógł myśleć o małżeństwie. Widoki były wówczas dla oficerów bardzo liche, dłuższe więc czekanie żadnego by nie miało celu.

I zaledwie wystąpił z służby, nastręczyła mu się sposobność przyjęcia miejsca celnika granicznego. Brano na takie stanowiska bardzo chętnie byłych oficerów dla ich ciętości wojskowej, Wessely więc doznał także dobrego przyjęcia i z zapałem poświęcił się nowemu zawodowi.

Po roku posunął się o krok dalej, gorliwość jego zupełnie u władzy przełożonej zyskała uznanie.

Ile jednak wycierpiał w ciągu tego roku, któż to zdolny pojąć i rozumieć! Stósownie do słowa, danego Wolfowi, nie widział Hanusi ani razu.

Tylko na Boże Narodzenie posłali sobie nawzajem kilka drobnych podarunków, a gdy Wessely otworzył małe pudełeczko, które mu Hanusia przysłała, wypadł z niego złoty, perełką zdobiony, bardzo skromny pierścionek. Obok tego leżał list, a raczej kartka papieru z następującemi słowami:

— Noś ten pierścionek i myśl zawsze o mnie! Kocham cię i wiecznie wierną ci będę!

— *Hanusia.*

I znów minął rok i Wessely nie mógł zawsze jeszcze myśleć o połączeniu się z ukochaną.

Wolf zaś był nieubłagany. Nie pozwalał przyjechać ani razu Franciszkowi i śledził córkę tak uważnie, że o widzeniu się bez jego wiedzy ani mowy być nie mogło.

Pewnego dnia otrzymał Wessely wiadomość, która o ile go z jednej strony zmartwiła, o tyle mu z drugiej nowej dodała otuchy i nadzieji.

Przełożony jego kazał go do siebie zawołać i oświadczył mu że wybrano go do podjęcia bardzo trudnego zadania.

— Tam, gdzie granica nasza przez Tatry przechodzi, — rzekł, — tam rozszerza się przemytnictwo w prawdziwie zastraszający sposób. Musi tam istnieć jakaś wybornie zorganizowana szajka, w obec której władze nasze są bezsilne. Dla tego wybrał rząd pana, abyś się zajął tą sprawą. Udasz się tam i obejmiesz dowództwo nad wszystkimi strażnikami granicznymi. Będziesz miał jednego tylko zwierzchnika, Ginzinga; jest to dzielny urzędnik, ale w ostatnim czasie zleniwiał trochę. Bądź pan energicznym, nie ulęknij się żadnej walki ani rozlewu krwi, zwalcz przestępców, a jeżeli wydasz winnych w nasze ręce, otrzymasz miejsce kapitana przy cle!

Była to dobra wiadomość! Złą zaś była dla tego, że Wessely musiał opuścić Wiedeń bez widzenia się z Hanusią. Wieczorem tego dnia jeszcze wyjechał on w Tatry, Hanusi zaś przyniósł pewien żebrak, którego często jałmużną obdarzała, list z następującemi słowami:

— Najdroższa, wyjeżdżam ztąd, aby cię jaknajprędzej nazwać moją. Posyłają mnie w Tatry dla zwalczenia szajki przemytników i opryszków. Jeżeli Bóg da, zobaczymy się wkrótce, i wtedy nic i nikt nas już nie rozłączy!

Twój na zawsze
Franciszek Wessely.

ROZDZIAŁ XXV.

Zemsta wzgardzonej.

Straszna zawieja szalała w górach. —

Bardzo wcześnie spadł śnieg w tym roku — leżał już na stopę wysokości na wszystkich ścieżkach górskich, a skały ginęły formalnie pod jego ciężarem. Jeziora i strumyki pokryły się też już warstwą lodu, zima zapanowała z całą potęgą i groziła niezwykłym mrozem.

Wicher wył przerażająco koło zamku na skale i rzucał śniegiem tak, że ręki przed oczami widać nie było, ale w pokojach, które zamieszkiwał Henryk Orszański było ciepło i zacisznie, i na kominku jasny płonął ogień. Była to godzina siódma wieczorem.

Henryk leżał na wygodnej kanapie, przed nim z fuzyą w ręku, stał Michał Kamczyk. Ubrany w długim kożuchu, w wysokiej futrzanej czapce na głowie, był więcej do niedźwiedzia, niż do człowieka podobnym.

— Rozumiałeś mnie, nieprawdaż? rzekł teraz Henryk, zapalając papierosa. —Pójdziecie wszyscy, natychmiast, w dwudziestu minutach staniecie nad granicą, przekroczycie ją koło siedmiu dębów, i uszedłszy jeszcze z pięćdziesiąt kroków na stronie węgierskiej, osiągniecie jaskinię przemytników. Tam czekają na was żydzi z Szmeksu, odbiorą od was płótno i dadzą wzamian za to paki z tabaką. Potem musicie wracać, ale bądźcie ostrożnymi, wójcie! Węgierskich urzędników nie potrzebujemy się obawiać, oni co noc są pijani i w taką niepogodę nie wychodzą do lasu, gorzej jednak jest na naszej stronie!

— Oj tak! Od pewnego czasu człowiek życia niepewny, — zawołał wójt.

— Tak, od czasu jak szatan tu tego Franciszka Wessely sprowadził! Jest on tu najpierwszym teraz urzędnikiem i utrudnia nam bardzo nasze rzemiosło. Wiem, że on jest niezmiernie ambitny i postanowił, jak mi sam opowiadał, schwytać przemytników. Nie myśli on o tem, że ja jestem waszym dowódzcą, i to bardzo nam pomaga, bo wiem zawsze, dokąd się w nocy udaje. Gdybym go nie znał lub gdyby on się czegoś domyślał, to nie moglibyśmy się podjąć ani jednego transportu. Około dziesiątej idę do ich domu na partyę taroka, Wessely i Ginzing zaprosili mnie na dziś i na tem właśnie buduję mój plan. Podczas kiedy wy

Jarem wracać będziecie, postaram się o to, aby obydwóch urzędników zatrzymać w pokoju. Możecie więc być spokojni, ja czuwam nad wami. Skoro miniecie piekielny jar, jesteście już prawie w moim zamku. Tabakę schowajcie jak zawsze w sklepach!

— Wszystko tak będzie, jak kapitan każe, — rzekł Kamczyk. — Ale.....

— Ale co?

— Byłoby jednak pewnie najlepiej, abyśmy się tego Wesselego czy prędzej, czy później pozbyli! Byłbym to niemal dziś uczynił. Przechodził on koło mnie, na drodze do wsi, a ja -- miałem mój nóż za pasem. Pomyślałem sobie: jedno pchnięcie, a po nim! Jak łatwo ukryć ciało w skałach! Byłbym memu kapitanowi wielką wyświadczył przysługę, nieprawdaż?

— Broń Boże, — zawołał Henryk szorstko i rzucił papierosa gwałtownie na ziemię. Czemu zabijać niepotrzebnie tego młodego człowieka, on i tak nic nam nie zrobi, bo my jesteśmy przebieglejszymi, niż on, zresztą wypełnia on tylko swój obowiązek, rząd przysłała go tutaj aby wytępił przemytników, czyni więc wszystko, co może, byleby zadowolić przełożonych. Za to nie zasłużył na śmierć!

Kamczyk wzruszył ramionami, on widocznie zupełnie innego był zdania.

— Idź teraz Michale, zbierz ludzi i wyruszajcie. Najwyższy czas! O dziesiątej musicie być na granicy — zamiana towaru potrwa godzinę, o północy więc powinniście być w piekielnym jarze. O tym więc czasie muszę Wesselego zatrzymać w domu! Idźcie!

Kamczyk wyszedł głównemi drzwiami, na dole słyszeć jeszcze było odgłos jego kroków, potem ucichło wszystko i Henryk położywszy się znowu na kanapę, zamknął oczy, aby się trochę przespać.

Mała srebrna lampa, zawieszona na środku pokoju, oświecała bladem światłem skromne, lecz wygodne i dawniejszą wspaniałość zdradzające urządzenie.

Wicher wzmagał się coraz to bardziej, ogromne masy śniegu spadały, a z łasu dawały się słyszeć głośne i przeraźliwe krzyki sów i puszczyków.

Henryk spał.

Nagle otworzyły się cicho małe drzwi, ukryte w ścianie tak, że nie było ich można widzieć, i Lea ubrana w białą koronkową suknię, weszła do pokoju.

Oczy jej dziwnym złowrogim niemal jaśniały blaskiem, gdy stojąc teraz przed kanapą, wpatrywała się w twarz śpiącego.

— Ach, on mnie nigdy nie pokocha, — myślała z rozpaczą. — Jest moim mieszka ze mną pod jednym dachem, a cały świat dzieli nas! Daremnie czekam od kilku miesięcy na jedno czulsze spojrzenie, na jedno słowo miłości — — ale on obchodzi się ze mną tak, jak gdyby mnie wcale na świecie nie było. Nie zniosę tego życia dłużej! On mi nawet ręki nie podaje, nie rozmawia ze mną..... Ale ja też mam prawo do niego i dziś — dziś musi się wszystko rozstrzygnąć! Albo Henryk będzie moim, albo.....

Okropna jakaś groźba drżała na ustach żydówki, nie wyrzekła jej przecież. I zaraz potem uklękła przy kanapie, wyciągnęła obie ręce do ukochanego i szepnęła ze łzami w oczach:

— Nie, nie Henryku, nie lękaj się! Ja cię nigdy nie zdradzę! A jednak ty nie wiesz do czego zdolna kobieta, której miłością gardzisz!

I pochylając się nagle, dotknęła ustami twarzy śpiącego.

Henryk otworzył oczy i zerwał się z kanapy.

— To ty, Leo! — zawołał rozgniewany. — Czy nie wiesz, że zakazałem ci wchodzić do mego pokoju? Tak jak ja nigdy jeszcze nie przestąpiłem progu twojej sypialni, tak samo nie masz ty prawa znajdowania się w mojej. Żądam aby rozkazy moje szanowano!

— Ale ja jestem twoją żoną! — krzyknęła Lea gwałtownie.

— Zaślubiłem cię z woli twego niegodziwego a niestety — potężnego brata, dla uratowania życia najdroższej mi osoby. Żal mi ciebie! — Powiedziałem ci już dawno, że drogi nasze nigdy się nie zejdą — bo ja kocham inną a nie ciebie!

— Jeżeli mnie nie kochasz, to przez litość udawaj chociaż że kochasz! Ach, Henryku, ty jesteś dobrym dla każdego, najbiedniejszemu nieodmawiasz jałmużny. czemu tylko dla mnie jesteś tak nielitościwym?

— Słuchaj.....

— Nie chcę słuchać, — przerwała żywo, — ja chcę, abyś mnie kochał! Jestem piękną, młodą, uwielbiam cię! Teresa Krones jest dla ciebie straconą, ja jestem przy tobie — Henryku, czy ty nie masz serca? Ja dzielę twoje niebezpieczeństwa i stoję wiernie koło ciebie, w złych i dobrych losach, i chętnie umrę z tobą! Ale kochaj mnie, Henryku!

— Nie Leo, żądaj odemnie wszystkiego, tylko nie miłości, — odrzekł Henryk szorstko. — Teresa.....

— Teresa i zawsze Teresa, — krzyknęła w najwyższem uniesieniu. — Zawsze ona na pierwszem miejscu! Ale strzeż się, nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

— Skończ już raz te komedye, — rzekł Henryk niechętnie, — wiesz, że nie lubię tego. Jak ta skała stoi silna i niezłomna, tak silną jest miłość moja dla Teresy!

Lea zacisnęła pięści i przygryzła usta tak mocno, że aż krople krwi trysnęły z warg. Cała namiętność żydowskiej rasy, uczucie nienawiści, zbudziło się w jej sercu z straszną potęgą.

— W takim razie — syknęła, — życzę z całej duszy, aby wicher zwalił te gruzy i skałę, na której stoją. Niechby wszystko się zapadło w piekielnym jarze, i ty i ja..... Ja ci dowiodę że..... ja ci dowiodę.....

Zamilkła nagle — nie chciała widocznie powiedzieć, czego mu dowieść pragnie!

Rzuciła się tylko na kanapę, i ukrywszy twarz w poduszkach, głośno płakać zaczęła.

— Nie chciałem cię ani zranić ani obrazić, — rzekł Henryk łagodnie, ale Bóg mi świadkiem, że inaczej postąpić nie mogę. Miłość dla Teresy, to jedyny ideał, jaki uniosłem z sobą z świata w to pustkowie, jedyne szczęście, jakie posiadam w mem życiu rozbójnika! I tego nie oddam za nic! Za nic w świecie!

Po tych słowach zdjął z gwoździa futro i kapelusz i wyszedł.

Lea zerwała się z kanapy i biegła za nim.

— Henryku! — wołała z rozpaczą, — nie odpychaj mnie! Ach, ty nie wiesz, co czynisz!

Ale Henryk tego już nie słyszał. Drzwi na dole zapadły w zamek — Lea była samą. —

— Zemszczę się! — szepnęła, — zemszczę się okropnie za tę nową zniewagę.

Blada, z rozpaczonemi włosami, chodziła po pokoju, podobna do bogini zemsty i nienawiści. Czarne jej oczy płomienie ciskały, a wyraz ich był tak dziki, że nikt nie byłby poznał owej łagodnej Lei, która wówczas w Wiedniu pielęgnowała z zaparciem się własnej istoty, ciężko chorego Henryka.

— On mi zapłaci za to, — o, zapłaci krwią swoją! A jednak kocham go! Ale zanim on do innej ma należeć, lepiej, że umrze!

W tejże chwili otworzono drzwi i na progu stanął Leon.

— Szukam kapitana, — rzekł swym dźwięcznym, miękkim głosem.

— Mój mąż, — odpowiedziała Lea, — zgarniając mimowolnym ruchem włosy, — wyszedł przed chwilą. Jeżeli się pospieszysz, dogonisz go może.

Ale Leon nie ruszał się z miejsca.

— Czemu nie idziesz? — zapytała Lea. — Mówiłam ci, że dogonisz kapitana!

Leon milczał ciągle.

Stał on, jak skamieniały, tylko oczy jego żyły — błyszczały i nie schodziły z twarzy żydówki. A było w nich tyle zachwytu, tyle szczęścia, że Lea nie byłaby musiała być kobietą aby nie odgadnąć, co się dzieje w sercu prostego wieśniaka.

I przyszło jej na myśl, że on wiedział o wyjściu Henryka i że chciał tylko ją samą zobaczyć.

I zamiast gniewać się, wypogodził śliczny uśmiech twarz Lei — a podczas kiedy usta śmiały się — powstał w sercu okropny plan zemsty.

— Nie chcesz czekać na kapitana? — rzekła ,zbliżając się do Leona.

— Ja —to jest — ja... — jąkał młody opryszek, nie wiedząc, co mówi.

— Usiądź i ogrzyj się! Przyniosłeś z sobą zimę do pokoju!

— Zimę na ubraniu a wiosnę w sercu, — ośmielił się nagle Leon.

— Wiosnę w sercu! — powtórzyła Lea zamyślona. —

Szczęśliwy, kto tak o sobie mówić może. Jeżeli młodzieniec ma wiosnę w sercu, to kocha! To kochasz, Leonie?

Młody olbrzym milczał.

— Nie rozumiałeś mego pytania? — zapytała z uśmiechem, — kochasz?

— Tak. — rzekł szorstko.

— I posiadasz naturalnie wzajemność, nieprawdaż?

— Nie wiem.

— Ach, jak można tego nie wiedzieć!

— Dowiem się — dzisiaj — dlatego przyszedłem tu...

— Tutaj? Więc ta, której serce oddałeś, mieszka pod tym dachem?

— Tak! — szepnął Leon, i tracąc przytomność, schwycił rękę Lei.

— Leonie!

— Ach, po co dłużej grać komedyą, — zawołał młody opryszek. — Ty wiesz od dawna, że szaleję za tobą i raz przecież muszę ci to powiedzieć, — raz jedyny!

Lea uśmiechała się. Wyznanie wieśniaka nie obrażało ją na pozór wcale. Leon był jej niewolnikiem, mogła z nim robić, co chciała — i taki człowiek był jej potrzebnym, jako narzędzie do zemsty.

— Milczysz pani, — rzekł Leon ośmielony, — nie masz odpowiedzi dla mnie? Ja wiem, że małżeńskie pożycie twoje z kapitanem nie jest szczęśliwe — widziałem twe oczy zapłakane...

— Nie, ja nie jestem szczęśliwą!

— W takim razie ja otworzę ci niebo na ziemi, — zawołał namiętnie Leon, — jeżeli byś mogła mnie pokochać, jeżeli nie jesteś zbyt dumną!

— O nie, wcale nie! Ty mi się zresztą podobasz Leonie, ale miłość moją musiałbyś drogo opłacić! Nie, nie mówmy lepiej o tem.

— Życiem zapłacę miłość twoją, — krzyknął Leon. — Każ mi iść do lasu i przyprowadzić wszystkie niedźwiedzie, pójdę bez namysłu i wypełnię twój rozkaz! Każ mi przynieść złota i klejnotów, a ja dziś jeszcze pójdę i okradnę kogo, stanę się dla ciebie mordercą, złodziejem, czem chcesz! Nie ma nic, czegobym dla ciebie nie uczynił.

— Ludzie mówią, że miłość uszlachetnia — ale zamienia też ludzi szlachetnych w nikczemników, jeżeli tego potrzeba.

— Bardzo słusznie. Słowa twoje zachwycają mnie! Widzę już, że się łatwo porozumiemy.

Mówiąc to, położyła mu rękę na ramieniu i patrzała na niego tak zalotnie, iż biednemu chłopakowi zaczęło się w głowie mieszać.

— Leonie — szepnęła — będę twoją — tego dnia, którego pomścisz mnie na moim śmiertelnym wrogu!

— Kto — kto jest twoim wrogiem? — wyjąknął oszołomiony Leon. — Powiedz mi jego nazwisko, a ścigać go będę przez lasy i góry, chociażby uciekał przedemną na skrzydłach wichru! Moja kula dosięgnie wszędzie jego serca. Powiedz nazwisko!

Lea pochyliła się jeszcze niżej i dotknęła ustami jego czoła.

— Powiem ci je — szepnęła, — ale nie zlęknij się! Jest to nazwisko człowieka, który ci jest droższym może, niż ja i życie twoje!

— Chociażby był ojcem moim, to na rozkaz twój zabiłbym go!

Zmysły Leona były podniecone tak, że nie wiedział już, co mówi.

— Nazwisko mego śmiertelnego wroga jest: hrabia Henryk Orszański!

Leon zerwał się jak szalony i ukrył twarz w rękach

— On! — jęknął. — Mój kapitan! I to jest twój wróg? Jego mam zabić? Ach, wszakże to jedyny człowiek, który mi jest droższym, niż ojciec i matka! Nie! Zrobię wszystko, co chcesz, ale pana mego nie zdradzę!

— A jednak już go zdradziłeś — zawołała Lea, z dziko błyszczącemi oczami. — Wyznałeś miłość żonie jego, żądasz jej wzajemności.... Nie jest to zdradą, gorszą może, niż morderstwo? Ale ty jesteś tchórzem, a ja kocham tylko odważnych!

Leon wstał, podniósł flintę i z spuszczoną głową, szedł milcząc ku drzwiom.

Przedstawiał on widok najwyższej rozpaczy.

— A ja — kochałam go — szeptała Lea jakby sama do siebie. — Ale oszukałam się na nim!

Leon stanął i obrócił się.

— Oszukałaś się? — krzyknął. — Nie, przeciwnie, aś nadto dobrze obliczyłeś moje siły!

— Więc co.....?

— Więc weź mnie — zrób ze mnie nędznika, zdrajcę — co chcesz, ale kochaj mnie! Uciekajmy ztąd! Ja mam pieniądze — świat jest wielki, gdzieindziej znajdziemy szczęście!

Lea rzuciła mu się w objęcia.

— Tego dnia będę twoją — szepnęła, — gdy mąż mój wpadnie w ręce sprawiedliwości! I jeżeli jesteś trochę mądrym i przebiegłym, to chwila ta już dzisiejszej nocy nadejść może!

— Dziś już! — powtórzył Leon jak nieprzytomny.

A na dworze szalał wicher, jak gdyby chciał wypełnić groźbę Henryka i zrzucić stary zamek na dno piekielnego jaru!

ROZDZIAŁ XXVII.

Tajemniczy telegram.

— Ah, otóż nasz kochany hrabia, — zawołał stary inspektor Grinzing, gdy Henryk wszedł do pokoju. — Chodź pan, ogień już się na kominku rozpalił, a na stole leżą karty.

Henryk zdjął płaszcz, osypany śniegiem i rzucił go na krzesło.

— Okropna zawieja, — rzekł, zbliżając się do kominka.

— Tak, okropna, — dał się słyszeć głos młodego, bardzo przystojnego urzędnika celnego, — obawiałem się nawet, że pan hrabia wcale z swego zamku dziś już nie wyruszy!

— Przyrzekłem że przyjdę, — odpowiedział Henryk, i przyrzeczenia zawsze dotrzymuję! Ja zresztą lubię takie powietrze! Wycie wichru, szum drzew — zawieje — otóż to życie i ruch w naturze! Tem przyjemniej siedzieć potem w ciepłym pokoju z przyjaciołami!

Inspektor Grinzing zestarzał się w służbie. Miał on lat pięćdziesiąt i pięć, był nizki, otyły i wyglądał jak pozasłużbowy kapitan. Lubił on bardzo szklaneczkę punczu lub wina i wolał w pokoju wieczorem palić fajkę, niż biegać w ciemnych lasach za przemytnikami.

Franciszek Wessely natomiast zupełnie innego był zdania.

Twarz jego wyrażała odwagę i śmiałość, w oczach zaś błyszczała chęć walki, którą Henryk dopiero wtenczas byłby umiał ocenić, gdyby był wiedział, co go właściwie spowodowało do przyjęcia tak ciężkiej służby na granicy galicyjsko-węgierskiej.

— Zapalmy teraz fajki, — zawołał inspektor. — Pan hrabia usiędzie na kanapie, pan Wessely tu na krześle, a ja zostanę w moim starym fotelu, w którym niejednę już noc przespałem, Katarzyno, podaj nam puncz!

I podczas kiedy panowie zapalili fajki lub cygara, weszła stara Katarzyna, gospodyni inspektora, z ogromną wazą i szklankami i postawiła wszystko na stole.

— Boże Wielki, jaka też to niepogoda, — zawołała. — Tak się śnieg sypie, jak gdyby wszystko naraz spadnąć miało. Co to będzie! co to będzie!

Inspektor kazał jej iść na spoczynek i panowie zostali teraz sami.

Chwilowo nie myśleli jeszcze o grze w karty, popijając puncz rozmawiali wyłącznie o stosunkach granicznych, które stawały się codzień nieomal przykrzejszemi.

— To prawdziwy krzyż Bozki z tymi przemytnikami, — zawołał inspektor, puszczając z ust ogromne kłęby dymu. — Myślę o tem, aby wziąść dymisyą. Dawniej żył człowiek spokojnie, jak u Pana Boga za piecem — przeszło się raz poraz po lesie i wszystko się na tem kończyło. Czasem schwytano tam jakiegoś biedaka, który chciał przenieść przez granicę trochę tabaki — wzięto mu ją więc, a jego samego puszczono na wolność. Cieszyliśmy się zawsze z takiego wypadku, bo paliliśmy wtedy dobrą tabakę! Ale teraz — lepiej iść od razu do piekła, niż być tu urzędnikiem celnym! Przecież to nie do wytrzymania!

— Nie unoś się panie inspektorze, — rzekł Wessely, — mam nadzieję, że wnet przestaniesz się gniewać na szajkę przemytników. Mam najlepsze widoki schwytania ich!

Henryk otrząsnął popiół z cygara i zwrócił się do młodego urzędnika

— Doprawdy! — zawołał, — Ach, byłoby to prawdziwem szczęściem — bo chociaż mnie to osobiście nic nie obchodzi, czy przemytnicy istnieją, czy nie, to zawsze doznaję niemiłego uczucia gdy słyszę, że ci przestępcy są w naszej okolicy.

— To nie ulega wątpliwości! I nie chodzi wyłącznie o przemytników, ale i rozbójników i złodziejów, i jestem przekonany, że utworzyła się banda opryszków, która postępuje podług z góry ułożonego planu. Przykro mi to panu powiedzieć, ale wiem napewno, że we wsi Horce, należącej do pana, mieszka także kilku, członków tego haniebnego stowarzyszenia.

— To być nie może! — zawołał Henryk. — Mieszkańcy Horki są zbyt wygodni i leniwi na coś podobnego! Jeżeli pan masz jakie dowody, to byłbym panu bardzo wdzięczny, abyś mi je dał. Byłbym w takim razie pierwszym, którybym tych łotrów oddał w ręce sprawiedliwości!

— Co pan sądzisz o wójcie Kamczyku? — rzekł Wessely, zapalając nowego papierosa.

Henryk pozostał zupełnie spokojnym i patrzał w dym swego cygara.

— Wójt jest gwałtownym i rubasznym człowiekiem, — odpowiedział po chwili namysłu, — ale nie uważam go za złego lub fałszywego!

— Ja zaś innego jestem zdania! Nie dowierzam Kamczykowi nic a nic i musiałbym się bardzo mylić, jeżeli on nie jest członkiem tej tajnej bandy! Zresztą dziś jeszcze będę miał sposobność przekonania się o tem!

Henryk postawił szklankę, którą już do ust podniósł. Ręka drżała mu gwałtownie, zapanował jednak nad sobą, i uśmiechając się nawet, rzekł niedbale.

— Wyborny to puncz, panie inspektorze, nie wiem czy kiedykolwiek piłem lepszy. Więc dziś chcesz się pan przekonać o tem, zwrócił się nagle do Wesselego — przecież tej nocy pan chyba nie wyjdziesz na czaty!

— Naturalnie! O drugiej wyjdę z domu, miałem nawet nadzieję, że mi hrabia towarzyszyć będzie. Pan jesteś silny, przezorny i cieszyłbym się bardzo, gdybyś się wybrał ze mną!

— Bardzo chętnie! Lubię coś podobnego! Idę z panem!

Henryk mówił prędko, urywanym głosem, a twarz jego zbladła.

— Więc zgoda! — zawołał Wessely, podając mu rękę. — Jesteś pan dziś moim towarzyszem, a jeżeli uda nam się schwytać tych ptaszków, to chętnie podzielę się sławą z panem.

— Jaki jest nasz plan?

— Słuchaj pan: dowiedziałem się, że przemytnicy podjęli się dziś transportu płótna do Węgier. To mnie nic nie obchodzi — mógłbym ich schwytać może już na drodze do granicy, ale wtedy nie miałby rząd nasz powodu do zaskarżenia ich. Z Węgier natomiast mają przynieść rozmaite towary tu dotąd, żydzi w Szmeks dadzą im ogromne paki z tabaką! Wydałem więc rozkaz, aby im pozwolono przyjść aż pod zamek pana hrabiego, i tam, w najwęższym i najciaśniejszym wąwozie weźniemy spokojnie jednego po drugim.... Cała banda wpadnie nam w ręce! Żaden nie ujdzie o to się już postaram!

Henryk siedział z przymkniętemi oczami, słuchając uważnie każdego słowa.

— Zamyśliłeś się, kochany hrabio — rzekł Wesselly. — Może nie chcesz jednak iść ze mną — te wąwozy i piekielne jamy nie są przyjemnem miejscem pobytu. I walka z przemytnikami bywa też czasem niebezpieczną.

— Sądzisz pan, że ja się boję, — zawołał Henryk. — Przeciwnie, im większe niebezpieczeństwo, tem lepiej! Ta noc bardzo będzie interesowną. Podziwiam rzeczywiście cały ten plan...... ale powiedz mi pan, zkąd wiesz właściwie o wszystkich czynnościach przemytników? Czy pomiędzy nimi jest jaki zdrajca?

— Bynajmniej, trzymają oni z sobą jak smoła z siarką, każdy z nich dałby sobie raczej język uciąć, niż zdradzić towarzyszów. Ale żydzi w Szmeks nie są tak dyskretni, a że kazałem im powiedzieć, że rząd austryacki wyznaczył pięćset guldenów nagrody temu, kto pomoże przemytników schwytać, przeto zjawił się dziś u mnie jakiś żydziak w kaftanie — nazwiskiem Abraham Guzik....

Henryk roześmiał się głośno.

— Abraham Guzik, — powtórzył, — zabawne nazwisko! Muszę je sobie spamiętać!

I spamiętał je sobie!

W tejże chwili wydał na tego, z którego nazwiska się śmiał wyrok śmierci.

— No, myślę, że dosyć już rozmawialiśmy o przemytnikach — zawołał inspektor, — ja życzę im wszystkim, aby żywcem do piekła poszli, mianowicie ich przywódcy. Bo, mówcie mi co chcecie, ale mieszkańcy Horki i innych okolicznych wsi nie są dosyć inteligentni, aby ułożyć i wykonać takie napady, jakie się tu w ostatnich czasach zdarzały. Czy ludzie ci byliby dosyć odważnymi, aby napaść dwór pana Lipczyńskiego, odwoławszy go poprzednio wraz z całą familią fałszowanym listem do innej wsi? Zresztą to wyborny figiel — słyszałeś hrabio o tem?

— Nie! Żyję sam, odosobniony od świata i ludzi i nie słyszę o niczem, co się w okolicy dzieje. Opowiedz mi pan historyą o Lipczyńskim! Co się tam stało?

— Więc było to tak, — zaczął inspektor, śmiejąc się głośno. — Lipczyński siedzi sobie jednego dnia — będzie temu z sześć lub siedem tygodni, z żoną i córkami przy obiedzie, nie przeczuwając nic złego, aż tu naraz melduje służący jakiegoś posłańca z listem.

— Zkąd to? — pyta Lipczyński.

— Przychodzę z pismem od wielmożnego pana Salickiego!

— Ah, dawaj list — co tam pisze mój przyjaciel?

I otworzył kopertę. Ale zaledwie przeczytał list do końca, krzyknął na żonę i córki:

— Ubierajcie się, prędko! Brat Salickiego wrócił z Ameryki i przywiózł miliony. Zapraszają nas dziś na kolacyą — całe sąsiedztwo będzie..... Uczta, co się zowie! Jak uprzejmie z ich strony, że o nas nie zapomnieli. Ubierzcie się ładnie, dziewczęta — milioner nie ma żony, może jedna z was mu się spodoba, kto to może wiedzieć! Za godzinę jedziemy!

Panie pobiegły do swych pokoi i nie trwało godziny, jak zeszły postrojone, jak gdyby się na największy wybierały bal.

Posłańca tymczasem ugoszczono w kuchni, a gdy się najadł i napił, uciekał czemprędzej mówiąc, że mu się kazano spieszyć z powrotem.

Powietrze było tego dnia okropne, deszcz lał jak z cebra.

Ale Lipczyńscy pomimo to pojechali.

Ciasno im było w karecie i duszno, nikt jednak na to nie zważał. I nareszcie, po dwóch godzinach uciążliwej drogi, stanęli wszyscy szczęśliwie u państwa Salickich.

Zmierzch już dobrze zapadał, gdy kareta przed dwór zajechała. Lecz cóż to? W oknach ciemno, nikt na powitanie gości nie wychodzi — co to znaczy?

— Figiel jakiś, — zawołał Lipczyński. — Wymyślił go pewnie ten Amerykanin — tam lubią także niespodzianki, wiem o tem z gazet. No, ale my nie pozwolimy z siebie żartować!

I wyskoczywszy z karety zaczął obydwiema pięściami uderzać we drzwi domu. Po chwili wyszedł jeden z służących zdumiony, patrzał na niespodziewanych gości.

— Gdzie państwo? — krzyknął Lipczyński.

— Położyli się — pan zaziębiony, ma kaszel, panią bolą zęby.....

— Więc prowadź nas do sypialnego pokoju, — roześmiał się Lipczyński.

Służący stoi i nie wie, co na to powiedzieć.

Wtedy odpycha go Lipczyński, bierze żonę za rękę i skinąwszy na córki, woła:

— Idźcie za nami, znamy takie żarty! Dalej na górę!

I całe towarzystwo idzie po schodach na pierwsze piętro. Nagle z jednego pokoju daje się słyszeć głos:

— Kto tam? Odpowiedz, albo strzelę!

— Bardzo dobrze — woła Lipczyński, — strzelaj bratku, to my! Sądzę, że dosyć długo wodziliście nas za nos, teraz czas, abyście się pokazali!

Mówiąc to, otwiera drzwi i co widzi? Pana i panią Salickich w łóżkach, z owiązanemi szyjami i głowami. Pani Salicka z głośnym krzykiem przykryła się kołdrą aż po uszy.

Ale Lipczyński nie jest jeszcze przekonany o prawdzie. Myśli on, że leżą oni w łóżkach w balowych ubraniach i prosi, aby przecież wstali i komedją raz już skoń-

czyli. Pan Salicki nie wie o co chodzi, gniewa się i obydwaj rozpoczynają kłótnią, co się zowie.

— Zapraszają ludzi, a potem kpią z nich! — krzyknął Lipczyński, trzęsąc się z gniewu.

— Ja was zaprosiłem? — Ani mi się śniło! — odpowiedział Salicki.

Od słowa do słowa, kłócili się długo, aż nareszcie wyjął Lipczyński list z kieszeni i podał go Salickiemu, który go uważnie przeczytał.

— Ależ to nie ja pisałem — rzekł nareszcie zdumiony. — To jakaś podłość, ktoś wypłatał nam głupiego, niegodziwego figla!

Lipczyński przeprosił sąsiada — obydwaj pogodzili się, i nieproszeni goście wybrali się czemprędzej z powrotem do domu.

Panny płakały, pani wyrzekała i gniewała się a pan Lipczyński klął w żywe kamienie.

Ale najgorsza niespodzianka czekała ich jeszcze. Gdy skręcali na polną drogę, wpadły konie w jakiś dół, którego tam poprzednio nie było i kareta przewróciła się. Zanim ją zdołali wyciągnąć z błota, i zanim stanęli w domu, minęło znowu kilka godzin.

I co tu zobaczyli! Rozbójnicy wypróżnili wszystkie pokoje, zabierając wszystko, co jakąś wartość miało, mianowicie srebra familijne, na które Lipczyńscy zawsze tak dumni byli. Kto wie, u jakiego teraz znajdują się żyda! A sprawili się tak cicho, że służba, śpiąca w oficynie nic nie słyszała!

Henryk śmiał się serdecznie.

— Ależ to niemożliwe! — zawołał.

— Daję panu słowo, że wszystko tak było, jak opowiedziałem.

— I nie znaleziono opryszków, którzy taką krzywdę Lipczyńskiemu wyrządzili?

— Ani śladu! To jedno jest pewnem, że mieszkańcy Horki nie zdobyli by się na coś podobnego! Żaden z nich nie umiałby naprzykład napisać takiego listu! Ten, kto go pisał, zmienił naturalnie rękę. Dlatego twierdzę, że w tej okolicy musi się jakiś człowiek ukrywać, który ma dużo sprytu i wykształcenia i który jest dowódzcą tej bandy. Gdyby go tak można ująć! Byłoby to dla nas prawdziwem szczęściem! Ale dosyć już o tem, grajmy teraz naszego preferansa!

Zaczęli grać. Ale po chwili położył Wessely karty na stół.

— Wybaczcie panowie, — rzekł, — puncz tak mnie osłabił — z drugiej zaś strony jestem tak rozdrażniony myślą, że za kilka godzin może będę miał opryszków w moich rękach... Nie mogę grać. Może uda nam się schwycić dowódzcę — — O, panowie nie przeczuwacie, jak mi na tem zależy! Zdobyłbym sobie odrazu to, czego serce moje tak gorąco pragnie!

— Wiem już, — zawołał inspektor, — pan Wessely jest zakochany, dlatego marzy o awansie, aby się jaknajprędzej ożenić. Zgadłem?

— Tak jest, nie zaprzeczam, — odrzekł Wessely wstając, — kocham z całego serca pewną młodą dziewczynę, i jeżeli mi szczęście posłuży, osięgnę wnet upragniony cel. Dwunasta bije, muszę iść... W domu czeka na mnie jeszcze ważny telegram od Abrahama Guzika. Miał jeszcze donieść, kiedy przemytnicy wybierają się z powrotem przez granicę. Może hrabia pójdzie ze mną! Może pan się przespać w moim pokoju na kanapie, mamy jeszcze dwie godziny czasu. Skoro tylko otrzymam telegram, wyruszymy. Moi ludzie czekają na mnie przy wejściu do wąwozu!

— Przy wejściu do wąwozu? — zawołał Henryk. — Ale w takim razie spostrzegą nas zaraz przemytnicy!

— Tak, gdybym nie był tak przebiegłym!

— Więc, jak pan urządziłeś wyprawę?

— Kazałem moim żołnierzom uszyć białe ubrania, aby nie odbijali od śnieżnej ściany. Na głowie mają białe okrągłe czapki. Na odległość dziesięciu kroków nie można ich zobaczyć!

— To świetna myśl! — zawołał Henryk, a serce biło mu silnie z trwogi, na myśl bliskiego niebezpieczeństwa, grożącego towarzyszom. Musiał uznać, że Wessely o wszystkiem myślał i jaknajlepiej urządził.

— Ilu pan masz żołnierzy? — zapytał po chwili.

— Około czterdziestu odrzekł Wessely, — ale są doskonale uzbrojeni i będą walczyć do upadłego!

Henryk zamyślił się przez chwilę, potem zawołał żywo:

— Ja także jestem bardzo zmęczony, i przyjmuję chętnie propozycyę przespania się u pana. Idźmy więc!

— Właściwie powinienem iść z wami ,— rzekł inspektor, — ale wyznam otwarcie, że jestem nieco zaziębiony. Że zaś hrabia towarzyszy panu, przeto ja nie jestem tam już potrzebnym!

— Naturalnie, — odpowiedział Wessely, rad, że mu stary zawadzać nie będzie. — Zostań pan spokojnie w domu, my sami wszystko załatwimy, a jutro rano, mam nadzieję — otrzymasz pan odemnie dobrą wiadomość.

Po chwili wszedł Henryk z Wesselym do małego domku, w którym mieszkali młodsi urzędnicy, i którego połowę urządzono teraz dla Wesselego.

— Dzięki Bogu, jesteśmy na miejscu! — rzekł Franciszek. — Patrz hrabio, to moje mieszkanie. Mam tylko ten jeden pokój — tutaj śpię, jem, pracuję i tu mam także aparat telegraficzny.

— Ale ciepło tu i zacisznie, — odparł Henryk, zdejmując płaszcz.

— Połóż się hrabio na kanapę, ja zaś prześpię się na łóżku. Skoro oczekiwany telegram nadejdzie, udamy się zaraz do piekielnych jam.

— Henryk położył się — był rzeczywiście bardzo zmęczony i chętnie byłby się zdrzemnął, ale, o wypoczynku myśleć nie mógł. Jedyne, co go teraz zajmować musiało było to, w jaki sposób będzie mógł ocalić swoich towarzyszów. Wiedział przecież, że o drugiej będą w wąwozie, że nie spostrzegą biało ubranych żołnierzy, i że pójdą dalej, wprost na kule śmiertelne.

Bezwarunkowo będą wszyscy zgubieni.

I on sam także! Bo gdyby Wessely schwycił żywcem jednego lub dwóch tylko, to w więzieniu, pod wpływem grozy śmierci, wymienią jego nazwisko. Henryk nie przypuszczał wprawdzie, aby go dobrowolnie zdradzili, znał ich wierność i przywiązanie do siebie, ale wszystko na świecie było możliwem! Jakim jednak sposobem zapobiedz, aby przemytnicy nie byli napadnięci w wąwozie?

Jedyna możliwość była ta, aby żołnierzy zaprowadzić na inne miejsce — tam, gdzieby przemytników nie spotkali.

Henryk myślał, układał jeden plan po drugim, a minuty upływały z przerażającą szybkością.

W pokoju głęboka panowała cisza, wicher szalał i wył tak jak poprzednio, i Henryk zmęczony myśleniem i ciepłem w pokoju, usnął.

Wessely nie spał.

I on był wzruszony, rozdrażniony, myślał bowiem o tem, że w tej nocy rozstrzygną się losy jego i Hanusi, że szczęśliwem schwytaniem przemytników stanie się bohaterem w oczach przełożonej władzy.

Gdyby mu się udało schwycić tę niebezpieczną bandę, a mianowicie ich dowódzcę, to zawiózłby go zaraz sam do Wiednia i mógłby być pewnym wysokiego awansu. Wtedy Hanusia i on byliby najszczęśliwszymi ludźmi w świecie. Tylko dziś trochę szczęścia!

W czasie swego pobytu nad granicą otrzymał trzy razy wiadomość od Hanusi, trzy listy, które jako skarb, jako talizman nosił zawsze na sercu.

I teraz mimowoli przycisnął je ręką a usta wyszeptały słowa gorącej modlitwy.

— Dopomóż mi Boże ,— prosił pokornie, — opiekuj się mną dzisiaj! Pozwól mi dojść do upragnionego celu!

Nagle dał się słyszeć szelest w aparacie — biała wązka taśma papieru wysunęła się z maszyny.

— Telegram z Szmeks — pomyślał Wessely, wstając ostrożnie, aby nie zbudzić Henryka ,— teraz się wszystko musi rozstrzygnąć! Nareszcie!

Taśma stawała się coraz to dłuższą — Wessely patrzał z natężoną uwagą na znaki, na kreski i kropki — ale cóż to? Jakież tam słowa wyczytał?

Uśmiech niedowierzania przesunął się po jego ustach. Czegoś podobnego nie mógł mu Abraham Guzik donosić, więc co to miało znaczyć?

— Uważaj na hrabiego....

— Na jakiego hrabiego? O kim tu była mowa? Czy o Henryku Orszańskim, tym pięknym, wytwornym Orszańskim, który spał tak spokojnie na kanapie?

I dlaczego ma na niego uważać?

Papier wysuwał się dalej i Wessely przeczytał teraz całe zdanie.

— Uważaj na Henryka Orszańskiego, on jest dowódcą opryszków tatrzańskich.

Wessely stał jak skamieniały.

— Nie, to było niemożliwem, a jednak — kto wie!

Najrozmaitsze wypadki zdarzały się na świecie, czemu i tu nie miałoby być coś nadzwyczajnego! Ale myśl o tem była mu potworną!

ROZDZIAŁ XXVIII.

Podstęp Henryka.

Wessely stał ciągle jeszcze i wpatrywał się w zagadkowy telegram. Czytał go raz jeden i drugi i dziesiąty, sądząc, że się może omylił, ale nie — znaki były wyraźne, o omyłce więc mowy być nie mogło.

Oskarżenie hrabiego było okropne!

— Nie ma się co namyślać, — szepnął Wessely, — trzeba się raczej wziąść energicznie do dzieła!

Przedewszystkiem musiał się dowiedzić, skąd telegram został wysłany i dlatego zaczął zapytywać wszystkie bliższe stacye. Przypuszczając jednak zarazem, że wszystko to może być tylko żartem, nie udzielał stacyom treści telegramu co dopiero otrzymanego, tylko pytał, czy do niego telegrafowano.

Ale zewsząd nadchodziły odpowiedzi:

— U nas nikt do pana telegramu nie oddawał!

Wessely stawał się coraz to niespokojniejszym. Jeżeli z żadnej stacyi nie przysłano mu telegramu, to któż go przysłał? Czyje ręce dotknęły aparatu, aby mu udzielić tej zagadkowej wiadomości?

Aparat odezwał się znowu i po raz drugi wysunęła się taśma białego papieru z wyraźnemi znakami: „Uważaj na hrabiego Orszańskiego, on jest dowódcą opryszków tatrzańskich!

Teraz nie wątpił już Wessely o prawdzie tych słów. Przyszło mu też na myśl, jak żywo zajmował się Henryk jego planem schwytania przemytników i jak prędko zgodził się na towarzyszenie mu na tę wyprawę.

Chciał on mu zapewne przeszkodzić w wykonaniu tego planu, przestrzedz w jakikolwiek bądź sposób przemytników i uratować ich.

— Czekaj, mój hrabio, — myślał Wessely, — pokażę ci, kto z nas lepiej tę rzecz ułoży!

Ale z tem wszystkiem bardzo nieprzyjemnego doznawał uczucia. Znajdował się zupełnie sam z Henrykiem w domu, oddalonym może o tysiąc kroków od głównej kwatery urzędników, a wicher wył tak przerażająco, że krzyku jego nikt nie byłby usłyszał.

A przecież musiał mieć pomoc, jeżeli chciał natychmiast uwięzić Henryka, sam nie byłby mu dał rady, nie dorównując mu ani siłą ani zręcznością.

Henryk leżał spokojnie, po drżących jednak powiekach jego poznał Wessely, że nie śpi, tylko udaje śpiącego. Henryk obudził się rzeczywiście w chwili, w której się aparat odezwał, i przemyśliwał znowu o tem, w jaki sposób zniweczyć plany Wesselego.

— On mnie tu gotów zamordować, — szepnął Wessely, — nie sprawiłoby mu to żadnej trudności!

Nie był on wcale tchórzem, przeciwnie, posiadał dużo energii i odwagi, ale na myśl o tem, że mógłby być tutaj zdradziecko zamordowanym, ogarnęło go dziwne, niewytłumaczone przerażenie.

Hanusia nigdy by go już nie zobaczyła i wypłakiwałaby sobie oczy za nim!

Przez kilka minut namyślał się, co robić. Czy nie byłoby najlepiej rzucić się teraz na Henryka i związać go?

Nie, na to nie mógł się odważyć, w walce z Henrykiem bowiem musiałby uledz, a wtedy byłoby wszystko stracone! Z tem wszystkiem było już kwadrans na drugą i nie wiele zostawało mu czasu do namysłu.

Jeżeli o drugiej wyjdzie z domu, to Henryk będzie mu towarzyszyć i pójdzie obok niego przy najniebezpieczniejszych przepaściach. Jedno silne pchnięcie i —

Nie, i na to nie można było się narażać!

Jedyny sposób pozostawał mu tylko, i tego postanowił spróbować. Telegraf jego miał także połączenie z węgierskimi urzędnikami, których dom tylko o pół godziny drogi był oddalonym. Najlepiej więc telegrafować do nich i prosić o pomoc — w przeciągu pół godziny mogło tu być z dwudziestu żołnierzy!

Usiadł więc natychmiast przy aparacie i zatelegrafował do węgierskich urzędników następujące słowa:

— Przybywajcie prędko — jestem w niebezpieczeństwie — Wessely — stacya austryacka, numer siódmy.

I teraz, po wysłaniu depeszy musiał zebrać wszystkie siły, aby okazać spokój i nie zdradzać niczego przed Henrykiem, aż do przybycia węgierskich żołnierzy.

Poszedł jednak najpierw do drzwi, zamknął je po cichu i schował klucz do kieszeni, potem spojrzał na okiennicę, zaopatrzoną w ciężkie, żelazne rygle i uśmiechnął się zadowolony, tamtędy nikt uciekać nie mógł. Hrabia Orszański był uwięziony, lecz i on sam także.

W tejże chwili ziewnął Henryk głośno, przetarł oczy i uniósł głowę.

Wessely musiał rzeczywiście panować nad sobą, aby się nie zdradzić wobec człowieka, o którym wiedział, że jest owym poszukiwanym dowódcą rozbójników i tem samem jego najgorszym przeciwnikiem.

— Wyspałeś się kochany hrabio? — zawołał żywo.

— Owszem, usnąłem natychmiast! Pewnie to skutek mocnego punczu inspektora! Ale i pan spałeś, nieprawda?

— Tak, trochę — potem jednak musiałem iść zaraz do aparatu!

— Przyszedł telegram z Szmeks?

— Tak, Guzik doniósł, o czem już zresztą wiedziałem, że przemytnicy będą o drugiej w wąwozie!

— O drugiej! A która teraz godzina?

Wessely spojrzał na zegar, wiszący nad aparatem.

— Za pięć minut pół do drugiej — odrzekł.

— W takim razie najwyższy czas — zawołał Henryk, zrywając się z kanapy, — do wąwozu idziemy co najmniej dwadzieścia minut. Pójdź pan!

— Ach, nie potrzebujemy się znowu tak spieszyć, zajdziemy w piętnastu minutach bardzo wygodnie.

— Jak pan chcesz! — W takim razie zapalmy jeszcze cygaro!

— Bardzo chętnie!

— Więc to jest aparat telegraficzny, — rzekł nagle Henryk, zbliżając się do stołu ,na którym aparat stał. — Muszę go sobie obejrzeć — bardzo mnie to interesuje!

Wessely zadrżał. Przypomniało mu się bowiem, że zapomniał wyjąć papieru z telegramem.

Henryk wziął papier, spojrzał na znaki i zbladł.

— Ach — pomyślał Wessely, — teraz wszystko stracone! On umie czytać i wie o co chodzi!

— Więc to jest ów telegram z Szmeks — zawołał Henryk z udanym spokojem, — przysłany przez Abrahama Guzika? Szkoda, że nie umiem czytać tych znaków!

I położył papier na stole.

Ale Wessely był mocno przekonany, że Henryk telegram przeczytał i przygotowywał się w myślach do zaciętej walki. Na szczęście miał rewolwer przy sobie i w ostateczności postanowił go użyć.

W tejże chwili odezwał się znowu aparat — była to odpowiedź od urzędników węgierskich.

— Cóż to, jeszcze jedna depesza? — zawołał Henryk zdumiony.

— Tak, zobaczę zaraz ,od kogo....

Odpowiedź brzmiała jak następuje:

— Wytrwaj — idziemy ci na pomoc!

Ah, idą już, a więc będą tu najpóźniej o drugiej!

Ale te pół godziny sam na sam z dowódcą rozbójników, w samotnym domie. Każda minuta stawała się tu wiecznością! Byle tylko zostać spokojnym!

— Musimy iść już — zawołał Henryk nagląco. — Jeżeli teraz nie wyjdziemy, to się spóźnimy napewno!

— Czemu on chce iść koniecznie — myślał Wessely. — Pewnie chce mnie zepchnąć w przepaść!

— Otrzymałem właśnie drugi telegram z Szmeks — odrzekł żywo, — Abraham donosi mi, że przemytnicy dopiero o trzeciej będą w wąwozie!

— Bardzo dobrze, w takim razie mamy jeszcze godzinę czasu. Nie potrzebujemy jeszcze wychodzić w tę zawieję. Ale co robić? Kart nie masz pan zapewne, palmy więc cygara i rozmawiajmy. Ah, widzę tam tureckie fajki pozwolisz pan, że nałożę sobie w jedną z nich tytoniu?

Owe tureckie fajki, okute w srebro, były jedyną spuścizną po ojcu, jaką Wessely otrzymał.

— Naturalnie. — rzekł uprzejmie. Wessely. nie chcąc

odmową rozgniewać Henryka — tam stoi pudło z tytuniem, a jeżeli chcesz hrabio i dla mnie fajkę przygotować, to będę ci szczerze za to wdzięcznym!

— Bardzo chętnie!

— Ja tymczasem zatelegrafuję jeszcze raz do Szmeks. Bardzo mi to podpada, że przemytnicy tak się spóźniają! —

— Może się lękają niepogody, — odrzekł Henryk, idąc po tytuń, — telegrafuj pan spokojnie dalej, ja tymczasem nałożę obiedwie fajki!

Wessely usiadł znowu przy aparacie, ale zamiast do Szmeks, wysłał depeszę do kolegów węgierskich:

— Czy pomoc w drodze — dowódzca opryszków tatrzańskich jest u mnie!

Henryk pochylił się nad pudłem, w którem był tytuń i nakładał fajki, a gdyby Wessely był mógł widzieć w tej chwili jego twarz, byłby jeszcze usilniej prosił o pomoc. Bo Henryk umiał czytać znaki telegraficzne!

I podczas kiedy Wessely, obrócony plecami do pokoju, ustawiał aparat, wyjął Henryk szybko maleńką buteleczkę z kieszeni, nalał na tytuń w fajce przeznaczonej dla Wessely'ego kilka kropli jakiegoś płynu i równie szybko schował ją znowu. Potem zapalił fajkę i podał ją swemu towarzyszowi.

— Wyborny tytuń, — rzekł puszczając kłęb dymu z ust .— Skończyleś pan? No, więc siadajmy! Przy fajce przyjemna pogawędka!

Wessely nie podejrzywał go o żaden podstęp. W tytuniu nie było ukrytej broni, nic mu więc szkodzić nie mógł, tem więcej, że z jego własnego pochodził pudła. Zdawało mu się wprawdzie, że ma dziś trochę inny smak, niż zwykle, ale w swem bezmiernem rozdrażnieniu i wzburzeniu żadnej na to nie zwracał uwagi.

— Im zimniej na dworze, tem milej w ciepłym pokoju, — odezwał się Henryk, siadając na kanapie. — Wtedy dopiero można odczuć cały urok zimy! Widzisz pan, mieszkańcy wielkich miast żałują nas, że nie mamy codziennie zabaw i teatrów, ale ja nie pomijałbym się z nimi. Bo tutaj mamy matkę przyrodę w całej jej piękności i potędze ,a chociaż grozi nam często, to zawsze jednak jest — matką!

Wessely zdumiony spojrzał na mówiącego. Ten rozbójnik, herszt opryszków, mógł się wyrażać w ten sposób o przyrodzie, i myśleć o podobnych rzeczach, pomimo że wiedział, że w następnej chwili może stracić życie!

Był to jednak człowiek genialny, nieustraszony, i Wessely uczuł mimowoli szacunek dla niego!

— Dobrze panu nałożyłem fajkę? — zapytał Henryk po krótkiem milczeniu.

— Doskonale!

I teraz — po raz trzeci odezwał się aparat. Wessely nie wstał jednak, miał on tak wprawne ucho, że po uderzeniach mógł czytać litery.

Węgierscy koledzy telegrafowali mu kilka słów tylko.

— Trzydziestu żołnierzy wyruszyło przed kwadransem. Herszt zgubiony!

— Tak, zgubiony, — powtórzył Wessely zadowolony, — on zgubiony, a ja — Hanusia — ach.

Nie wiedział on jednak, że i Henryk rozumiał uderzenia aparatu!

Niezmierna tęsknota za Hanusią opanowała nagle jego serce. Chociażby tylko jeden z jej listów przeczytać, chociażby tylko spojrzeć na to pismo ukochane.....

Wybacz pan, — rzekł nagle do Henryka, — przypomniało mi się, że otrzymałem dziś list, którego jeszcze nie przeczytałem! Chciałbym go teraz. — —

— Ależ naturalnie, nie krępuj się pan moją obecnością!

Wessely wyjął z kieszeni listy Hanusi i zaczął je czytać, paląc przytem ciągle fajkę.

Zdawało mu się, że ukochana jego wychodzi z jakiejś mgły, że wyciąga ręce do niego i szepcze mu z słodkim uśmiechem:

— Wytrwaj najdroższy, walcz, a zwyciężysz!

Zwolna jednak postać jej bladła — oddalała się — teraz już jej nie widział — chciał jeszcze raz oczy otworzyć, wstać z krzesła, ale nie mógł. Czuł, że członki jego stawają się ciężkie, jak ołów i — stracił przytomność.

Henryk zerwał się z kanapy i schwyciwszy ramię śpiącego, potrząsnął niem kilka razy.

— Panie Wessely! — krzyknął głośno.

Franciszek poruszył się, otworzył usta, jak gdyby chciał coś mówić, ale w następnej chwili leżał już całkiem nieruchomy na ziemi.

— Najwyższy czas! — szepnął Henryk, a uprzejma jego twarz zmieniła się do niepoznania, takiego nabrała wyrazu wściekłości i dzikości.

— Śpi! Moje opium działa dobrze. Za dziesięć godzin obudzi się! Ale teraz prędko!

I ująwszy śpiącego w swe silne ramiona, położył go na łóżko i zdjął z niego mundur.

Potem przykrył go kołdrą, wdział mundur na siebie i uśmiechnął się.

— Śpij mój przyjacielu, — szepnął — postaram się o to, aby ci nikt nie przeszkodził!

A ustawiwszy aparat zatelegrafował na granicę węgierską:

— Nieporozumienie — odwołać żołnierzy — Wessely.

Zebrał jednak wszystkie papiery, zawierające groźne dla niego depesze i spalił je na kominku. Resztę tabaki z fajki Wesselego wrzucił w ogień, obiedwie fajki powiesił nad łóżkiem i ułożył wszystko tak jak było, zacierając o ile możności wszelki ślad swego tutaj pobytu. Własne ubranie związał i węzełek zarzucił przez ramię, jak zwykły podróżny.

— Dobranoc, panie Wessely, — rzekł jeszcze raz. — Gdy się wyśpisz, będzie ci się zdawało, że wszystko, co się tutaj działo, było snem tylko. Nie będziesz wiedział, że ja tutaj byłem, że przysłano ci telegram oskarżający mnie o rozboje, nie będziesz wiedział, kto cię do łóżka położył, i pomyślisz, że wypiłeś za wiele punczu u pana inspektora!

— Mógłbym go zabić, — dodał w duszy, — ale szkoda go! Kocha — jest kochanym, niech żyje!

Potem zgasił lampę, wyjął klucz z kieszeni i wyszedł z domu.

Wiedząc, że nie ma chwili do stracenia, biegł szybko, pomimo, że śnieg sypał mu w oczy i wicher oddech tamował — ale tam groziło niebezpieczeństwo jego wiernym towarzyszom! Przy wejściu do wąwozu mieli stać żołnierze, trzeba ich więc było czemprędzej posłać na inne miejsce. Nie było to trudnem, ponieważ miał na sobie mundur Wesselego.

Ale gdy szedł teraz sam, w ciemnym lesie, przyszło mu na myśl, kto go właściwie mógł zdradzić, kto wysłał ową tajemniczą depeszę! Żydzi w Szmeks nie mogli tego w żaden sposób uczynić, bo załatwiali rachunki i wszelkie interesy, zawsze tylko z Kamczykiem, którego za dowódzcę opryszków uważali. O tem, że hrabia Orszański jest kapitanem rozbójników, nikt w Szmeks nie wiedział.

Więc kto go zdradził?

Im więcej o tem myślał, tem więcej przychodził do przekonania, że mógł to tylko uczynić ktoś z jego najbliższego otoczenia. Albo zatem jeden z opryszków, albo jeden z mieszkańców Horki.

Ale to mu się wydawało niemożliwem.

Horczanie nie umieli napisać takiej depeszy i byliby zresztą poszli na jednę z poblizkich stacyi, a telegram ten nie pochodził z żadnej.

Henryk wiedział, że druty elektryczne można odwodzić na pola nawet. Ten kto chciał telegram posłać, potrzebował tylko na polu przerwać prąd, umocnić własny drut przy głównym drucie i połączyć to z małym aparatem telegraficznym. Tym sposobem mógł oddawać własne depesze i przejmować wszystkie te, które ze stacyi oddawano. Przypomniało mu się też, że w Ameryce zdarzało się to bardzo często. Raz naprzykład zapanowało na giełdzie w Nowym Yorku ogromne zamieszanie i to na wiadomość o zamordowaniu prezydenta bawiącego wówczas w San Francisco. Kursa spadły w jednej chwili tak, że niejednemu groziła ruina a wątpić o prawdzie nie było można, bo telegram nie byłby z urzędowej stacyi w San Francisco wysłanym. Ale dwie godziny później wydało się oszukaństwo. Ktoś musiał pomiędzy Nowym Yorkiem a San Francisco „pożyczyć sobie drutu'', tak to wówczas zwano. Jeden z bankierów nowojorskich był sprawcą tego oszustwa i zarobił na niem miljony. Zdarzenie to przyszło teraz na myśl Henrykowi, nie uległo rzeczywiście żadnej wątpliwaści, że ten, kto posłał tę depeszę Wesselemu, posłużył się także drutem elektromagnetycznym.

(Ciąg dalszy nastąpi).